Nr 10 (1573). Warszawa, 11 marca 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ostatni wyraz.

Akcję hr. Milewskiego należałoby pominąć pogardliwym milczeniem i przejść nad nią do porządku dziennego, bo wszak on nie pierwszy i prawdopodobnie — nie ostatni. Ma godnych poprzedników w szlachcie litewskiej—w mitrach i karmazynach, poczynając od sławnych w historji: biskupa wileńskiego Kossakowskiego, metropolity Bohusza Siestrzeńcewicza, Bułharyna, Sienkowskiego (barona Brambeusa), do współczesnych, może mniej głośnych, lecz również nikczemnych, jak poprzedni: marszalka szlachty powiatu jeziorowskiego Pietkiewicza, Patryka de Lassy i innych pomniejszych.

Renegaci, zaprzańcy zawsze byli i będą — i usunięcie się takich jednostek poza burtę życia narodowego jest pożytecznym, bo działając wewnątrz swą ideologją, mogliby większą idei polskiej przynieść szkodę.

Dotychczas jednak zaprzańcy nie mieli śmiałości głośno szerzyć idei zaprzaństwa, nie zawierali paktów w imieniu pewnej grupy społecznej. Mniejsza o to, czy p. Milewski był upoważniony przez grono ludzi, mieniących się szlachtą litewską czy nie. Charakterystycznym jest sam fakt, że p. Milewski choćby uzurpując swe pełnomocnictwa, miał czelność odezwać się w imieniu pewnego odłamu naszego społeczeństwa.

Gdzie szukał poparcia swych słów? Należy spojrzeć raz prawdzie w oczy i choćby to były rany ropne — przypiec rozpalonym do biała żelazem.

Zobaczmyż, czym są obecni panowie litewscy. Żeby zrozumieć ich ideologię, należy się cofnąć wstecz o pół wieku. Rok 1863, krwawe rządy Murawjewa zniszczyły całkowicie Litwę, ogołociły ją z jednostek dzielniejszych i lepszych. Irredenta polska została tam raz na zawsze pogrzebana. Życie, które tu niegdyś płynęło wartką rzeką, zostało sprowadzone do wązkiego strumyka, szlachta, odsunięta od życia publicznego i społecznego, zamknęła się w zaciszu domowym i w obawie jutra, zasklepiona w ciasnym kole interesów prywatnych, zmurszała i zaprzątnięta klasowymi sprawami, straciła busolę przewodnictwa w ogólnej sytuacji kraju. Obrona bierna placówki zabiła wszelką szerszą inicjatywę, zabiła polot, zabiła nerw polityczny.

W chwilach największej reakcji, gdy zdawało się, że cały gmach kilkuwiekowej kultury wali się w gruzy, powstaje w Petersburgu pod redakcją Erazma Piltza, jedyny w Cesarstwie tygodnik: *Kraj*. Świetnie redagowany, uwzględniający potrzeby życia Litwy i Białej Rusi, znajduje szeroki popyt w dworach i dworkach litewskich. Wszędzie jest czytany, wszędzie jest on nauczycielem polityki. A z czym przychodził ówczesny *Kraj*? Miast budzić ze snu, z odrętwienia, miast zagrzewać wystudzone pierwiastki narodowe, miast być dzwonem na głuchych, on powoli wsączał truciznę zwątpienia co do bytu narodowego, uświadamiał, że jedyną realną polityką jest układność względem każdego rządu i każdego czynnika politycznego. Trzeźwił — zupełnie już trzeźwych, ochładzał — i tak zbytecznie lękliwych. I na tle artykułów *Kraju* tworzyła się nowa ideologja ludzi, wyziębionych w uczuciach, bacznych, by nie schodzić z drogi prawnej — przystosowanych i układnych. Centrem dla nich przestała być Warszawa — przeniesiono go do Petersburga, szukano protekcyjek, szukano poparcia dla spraw osobistych — uważając to za pracę społeczną. Przywiązywano wagę do każdego słowa biurokratów, związywano losy nasze z ówczesnym ustrojem politycznym, jakby ów ustrój miał być ostatnim wy-

razem w życiu politycznym Rosji. Powoli zaradzała się niechęć ku Warszawie, ku Królewiakom, w których widziano warchołów i wsteczników, szukających oparcia w ideałach przeszłości.

I w pogoni za dniem dzisiejszym nie widziano, że tworzy się nowe jutro. Że na szańce życia wstępują inni ludzie bez herbów i tradycji, ufni w swą siłę i odporność w zespoleniu z ludem i że ta nowa siła społeczna żądał udziału i steru w życiu. *Kraj* tego nie widział, nie widziała tego i szlachta i coraz bardziej grzęzła na manowcach. A gdy się raz odrzuci ideje, gdy swój los i swoją politykę oprze się na czynnikach reakcji, to trzeba ponosić konsekwencję swych czynów. Od wianuszka do pomniczka, od pomniczka do... rzemyczka — oto jest ewolucja tego kierunku.

Nie oskarżamy kierowników o złą wolę, ale nieubłagana logika pcha ich pupilów poza krawędzie bytu narodu polskiego. Swą nauką przygotowali „krajowcy" grunt dla Ignacych Milewskich i tym podobnych. Stworzyli punkt oparcia dla tych, którzy dziś głosem tryumfu zwiastują swe zaprzaństwo. Gdy dawniej czyniliby to chyłkiem, dziś znajdują usprawiedliwienie swych czynów w przesłankach całego kierunku, do których ostatni dodali wyraz.

Zb.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

We Francji zaszedł znów jeden z tych kryzysów ministerjalnych, które stanowią właściwość tamtejszego parlamentaryzmu i co pewien czas czynią zamieszanie w funkcjach organów rządzących. Trzy ostatnie gabinety radykalne pp. Waldeck'a-Rousseau, Combes'a i Clemenceau — nie licząc przejściowych kombinacji pp. Rouvier'a i Sarrien'a — zdawały się zapowiadać serję „długich" ministerjów, trwających przynajmniej 3 lata; tymczasem gabinet p. Brianda, zrekonstruowany d. 4 listopada r. z., żył ogółem rok i osiem miesięcy. D. 26 z. m. zeszła z widowni politycznej postać tego wybitnego męża stanu, który w ciągu 5 lat brał udział kolejno w gabinetach Sarrien'a i Clemenceau, zanim utworzył własny.

Okoliczności kryzysu wskazują na siłę nastrojów antyklerykalnych w opinji francuskiej. Arystydes Briand wychodził zwycięzko z mnogich i zażartych zapasów politycznych dopóki nie wytknięto mu zbytecznych i nadmiernych ustępstw sferom klerykalnym. Uczynił to d. 25 lutego poseł Malvy w trakcie rozpraw nad intrygami kongregacji zakonnych, które tu i owdzie nanowo rozkwitły pod pobłażliwym okiem premiera. Zaskoczony tą napaścią p. Briand usprawiedliwiał się słabo i opinja większości Izby wnet zwróciła się przeciw niemu.

W liście, wystosowanym nazajutrz do prezydenta Rzeczypospolitej, ustępujący premier takie przytacza motywy swojej dymisji:

„Pragnąc wytworzyć jedność w społeczeństwie, ogłosiłem był wezwanie do wszystkich republikanów w celu realizacji zasad politycznego uspokojenia *(politique de détente et d'apaisement)* kraju, zgodnie z widokami rządu i ku tym większej korzyści republiki; zamierzałem prowadzić w dalszym ciągu, w myśl zasady oddzielenia Państwa od Kościoła, dzieło laicyzacji rozumnej, tolerancyjnej, szanującej wszelkie wierzenia; wreszcie — zapewnić wszystkim obywatelom ścisły i równy wymiar sprawiedliwości.

Wezwanie to, przez jednych źle zrozumiane, a wypaczone przez drugich, wywarło w końcu na frakcje większości republikańskiej w Izbie efekt wręcz przeciwny temu, jakiego miałem prawo oczekiwać.

Niechęć polityczna, jaka się ztąd wywiązała wobec naczelnika rządu, nie da się zażegnać. Uniemożliwia nam ona realizację programu reform politycznych, fiskalnych, ekonomicznych i społecznych, tego programu, z którym przyszliśmy i o którym jesteśmy w możności powiedzieć, że jest najszerszy i najśmielszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek były przedstawione Izbie".

Arystydes Briand schodzi zatym z pola z rozwiniętym sztandarem, z pełną świadomością swych za-

---

2)

A. BIEŁYJ.

KRZAK.

Przełożył z upoważnienia autora

Kazimierz Wroczyński.

Jar szerzący się powoli, jak rak kleszczami żrący ziemię podpełzał z latami pod krzak.

A krzak był gospodarzem gościnnym. Marmurowo białe jaja przez ptaki na jego gałęziach znoszone, wszystkie rzetelnie oddawał swemu lokatorowi, by go tylko spać położyć w jarze, nim zorza nadejdzie zachodnia. Nie chciał bo gościowi pokazywać co za węzły łączę go z zorzą — zarówno jak i zorzy gościa.

Schowawszy tedy durnego do jaru — jak też stawał na widnokręgu na czatach liściasty czarownik — i wzdłuż szerokiego pustkowia wydłużał cień swój, czarny cień i przed nizinami się kłonił a słodkie trawy cieniem swym lizał. Jednak i Iwasiowi się zachciało zorzy, do tego i porannej i wieczornej, a tu jar go namówił nie słuchać władyki pustkowia (bo jar sam lata już całe podorywał się pod krzak). — To też raz przyczajony w boku jaru, legł rozciekawiony Iwaś by wskroś chwasty a kamienie podpatrzyć nabożeństwa krzaka do zorzy. A krzak w modlitewnej ekstazie wodził po powietrzu swą z szyji w niebo wzbitą rękę — i długo — długo zwał zorzę — cud swój. Purpurowym kadzidłem okropiony cały lśnił, a bezcelowo siekące powietrze ręce jakież zaklęcia kreśliły! —

Jakże chyliła się szczecina traw przed wróżbiarzem, jakiż przerażony świst wskróś przeszedł osty:

„Woła! — zorzę woła!" Aż wyhynąwszy z jaru, zoczył Iwaś, jak krzak suchą swą ręką przeciął jasną zorzę — zorzeńkę! —

Przytym i nie zorza to była — dziewczę to było cudne — z pól dziewczę idące, z pól — a włosy jej potokami złotego miodu spływały na ramiona, — a usta jej szkarłatne, rozchylone, w niebo lazurowe ku pierwszej gwiazdeczce wieczornej szepty swe posyłające. Wejrzenia zaś — spojrzenia? Nie mógł znieść jej spojrzeń niewymownych, błękitnych, z pod rzęs ciemnych, z pod jak migdały podłużnych wykrojów ócz, gdy prysnęły na niego pokus świadome spojrzenia — nie zniósł, rękoma zatrzepotał, wpadł w jar i płakał, płakał tam długo o śnie zaprzepaszczonym.

Dzika jaskółka przecięła ostro powietrze koło jego uszu, wypalając świrem pamięć przeszłości.

I pojął — i zrozumiał, że to nie zorzę, a czyjąś duszę a swoją kochankę krzak czarami wywołał.

I duszą tą była jego w niewolę pojmana dusza;

sług i wartości, której nikt nie przeczy; jako człowiek zasad ujawnił nadmierną niewątpliwie skłonność do przemian zbyt pośpiesznych i skrajnych, przeszedłszy w krótkim czasie z najskrajniejszej lewicy do umiarkowanego centrum; natomiast, jako mąż stanu i naczelnik władzy wykonawczej, okazał niezwykłe zalety sprawności, pracowitości i energji, co pozwala mniemać, że Francja rychło sobie o nim przypomni, skoro stanie się jej znów niezbędny „*l'homme adapté à sa fonction*". Będąc w kwiecie sił męzkich i licząc w społeczeństwie oraz wśród wybitnych polityków wielu gorących przyjaciół — b. premier zajął teraz miejsce w pierwszym szeregu t. zw. *ministrable*'ów, gotowych w każdej chwili do objęcia porfelu...

Na czele nowego rządu stanął wiceprezes Senatu p. Ernest Monis, b. minister sprawiedliwości w gabinecie Waldeck'a-Rousseau, ugrupowawszy gabinet w sposób następujący: Cruppi — min. spraw zewnętrznych, Delcasse — marynarki, Bertaux — wojny, Messimy — kolonji, Caillaux — finansów, Steeg — oświaty, Poirrier — handlu, Dumont — robót publicznych, Massè — rolnictwa, Boncour — pracy. Czterej podsekretarze stanu — Constant, Malvy, Chaumet, Dujardin-Beaumetz — kompletują nowy gabinet, który w poniedziałek złożył Izbie stosowną deklarację, i przyjęty wprawdzie bez zbytniego zapału, zdobył większość 300 przeszło głosów lewicy radykalnej. Gwoli ścisłości informacji dodać należy, że w skład nowego rzędu weszło 7 radykałów lewych (*radicaux-socialistes*), 5 radykałów, 2 socjalistów republikańskich i 3 republikanów lewych. (*républicains de gauche*). Punkt ciężkości polityki francuskiej zatem przesunął się na lewo i odtąd najbardziej miarodajną opinją staje się znów grupa Combes'a i Pelletan'a, jej główny organ *Le Rappel* i pisma pokrewne, jako to *La Lanterne, La Petite République, l'Action* i do pewnego stopnia *Dépêche de Toulouse*. Nagły wzrost wpływu lewicy radykalnej wywołał istny popłoch wśród zachowawców i klerykałów, u których Emil Combes zaszczytną i rzetelną cieszy się antypatją. Natomiast skrajna lewica z pod znaku Jaurès'a zdradza wyraźne zadowolenie, *l'Humanité* zaleca posłom socjalistycznym współdziałanie z nowym rządem, przeciw czemu ostro powstał zgryźliwy dogmatyk Juljusz Guesde; w czasie debatów nad tą kwestją znów ujawnił się rozdźwięk, nurtujący stale skrajną lewicę, i ostatecznie socjaliści w Izbie obrali taktykę pośrednią i bierną: powstrzymanie się od głosowania.

Osobistość nowego ministra marynarki przykuwa ku sobie ogólną uwagę, zwłaszcza zagranicą; jakoż wejście Teofila Delcassé na widownię czynnej polityki jest faktem stokroć ważniejszym, niż dymisja Brianda. Powszechnie wiadomo, jaką rolę odegrał Delcassé w zbliżeniu francusko-angielskim i wszyscy mają w pamięci okoliczności dymisji tego wybitnego człowieka w r. 1905-ym. Nic też dziwnego, że za Renem nastrój zapanował kwaśny, gdy natomiast opinja angielska, zrazu stropiona nagłością kryzysu, daje szczery wyraz swemu zadowoleniu.

Oto co pisze *Times* londyński: „Rysem wybitnym nowego ministerjum jest ponowne zjawienie się p. Delcassé na ławach ministrów. Jest to wypadek, który sprawi w naszym kraju najlepsze wrażenie, p. Delcassé bowiem, jako minister spraw zagranicznych, doprowadził był szczęśliwie do końca długie i mozolne układy, które położyły kres wzajemnej zawiści i nieufności Wielkiej Brytanji i Francji. Powstało stąd serdeczne porozumienie (*entente cordiale*), które dziś jest w Europie jednym z najpierwszych, decydujących czynników pokoju i równowagi. Nie mamy potrzeby przypominać owej kampanji groźb oficjalnych, którą przedsięwzięła dyplomacja niemiecka bez najmniejszego skrupułu, by wzbudzić popłoch we Francji i obalić p. Delcassé".

Wprawdzie nie jest obecnie Delcassé kierownikiem bezpośrednim dyplomacji francuskiej — byłby to krok wręcz prowokacyjny wobec Niemiec — jednak dla nikogo nie jest tajemnicą, że *Quai d'Orsay* czerpać ma inspirację z ministerjum marynarki. Wymownym w tej mierze epizodem była wizyta p. Monisa u p. Delcassé, do którego nowy premjer przemówił w te słowa:

— Przychodzę do pana z prośbą, abyś raczył wstąpić do gabinetu. Ofiaruję panu dział, dla którego pan przez cztery lata pracowałeś, t. j. ministerjum marynarki. Zależy mi na tym, aby stwierdzić, że w kwestji zagranicznej polityki jesteśmy jednego zdania i że w tym kierunku niema między nami żadnych

---

dla niej to kwitło w miastach jego ciche serce o niej to nauczał on w domach i na placach.

Jego dusza — jego dusza w niewolę zakntał

Czemuż wołała go ku sobie, azaliż nie kochała pieszczot liściastych potwornego swego władcy? Nie! — kochała! Kochała — kochała: bezwładnie opuściła swe białe ręce na jego wstrętne ramiona, duszona w liści uściskach z głową w tył rzuconą, aż na ziemię spływały miodowe warkocze. Do łabędziej szyji namiętnie lgnęły trędowate usta krzaka, a co mówiła w uśmiechach czarownej świadomości, co lubiła, za czem wzdychała a smuciła się, tego nie usłyszał nikt — nie słuchał i krzak całując — całując — — I ona padła, a nad nią stanął władyka pustoszy — władcze swe dłonie wyciągnął w pysze, ściskając ptasie gniazdo jak berło — a ona na klęczkach całowała chciwie jego ręce zielone —

„Kochany — ty — — —

— — — — — — — — — — —

„Iwasiu!"

To tak rankiem krzak nań wołał. Odwrócił się durny plecami — o czymże ma więcej mówić z czarownikiem? Aż krzak sam się przewlókł doń na swych korzeniach, by mu dobre słowo dać, zieloną rękę doń wyciągnąć. — Aż chlipnęła mu ręka zielona na plecach, w razach cała gęstemi prysnęła kropelkami — zamoczyła — — Zdawało mu się, że jeszcze chwila, a krzak się rozpłacze z taką męką, a żalem zaglądał on w twarz durnemu. „Widziałeś Iwasiu zorzę — twoją duszę; wiesz jak kocham ja — władyka" — Nie-nie-nie z tym to ty krzaku daj spokój — dla wszystkich ona zorzeńką — siostrzyczką!" —

A dopóki Iwaś mówił brzask perłowy uśmiechał się doń prosząc o wolność. A krzak rozwiał zasmucony swoją zieloną koronę, do stóp durnego przypadał szepcąc. „Idź że ty ztąd — dopóki czas — idźże dopóki cię proszę! dopóki błagam!"

Odwrócił się odeń plecami Iwaś — więcej w żadne konszachty ze złodziejem podłym wchodzić nie chce.

I przez cały dzień o przyszłość krzak się sępił zieloną ziemię nagradzając rzęsnymi rośnymi kropelkami. A ziemia się poiła tymi kropelkami — karmiła się.

Jeszcze uporczywiej wieczorem skakał pod chmurą krzak uniżenie: —

„Chmurko ty piorunowa, chmuro zła, ołowiana a padnijże na durnego, a zasiecz go gradem, rykiem zagłusz, oszczepem roztopionego złota przebij na wskroś!"

Lecz w dale szła chmurka piorunowa ołowiana.

— — — — — — — — — — —

(d. n.)

różnic. Przed wizytą u pana z żadną osobistością nie mówiłem jeszcze o obsadzeniu ministerjum spraw zagranicznych i żadnych rokowań w tej mierze nie prowadziłem.—

Zauważyć jeszcze należy, że Delcassé zjawia się w momencie nader dla Francji trudnym i kłopotliwym, kiedy rozluźnione więzy t. zw. potrójnego porozumienia ujawniły słabość tej budowy, a jednocześnie wyniki zjazdu poczdamskiego dają się już niedwuznacznie uczuwać w nastroju rosyjskiej dyplomacji i w rozmieszczeniu wojsk na granicy zachodniej. Wobec takiego stanu rzeczy konwencja wojskowa, a nawet formalny sojusz militarny anglo-francuski, o czym w ostatnich czasach kursowały pogłoski, łatwo dokonać się może w najbliższej przyszłości.

Czynnik postępu społecznego reprezentują w nowym gabinecie pp. Berteaux i Cailloux; pierwszy cieszy się wielką popularnością wśród szerokich mas ludu, co świadczy o nim tym pochlebniej, że osobiście jest p. Maurycy Bertaux jednym z „tuzów" pieniężnych Paryża, posiadaczem olbrzymiej fortuny i filarem Giełdy. Nie przeszkadza mu to być szczerym radykałem, zwolennikiem najśmielszych reform demokratycznych, dzielnym i sprężystym ministrem wojny. Ze swej strony p. Caillaux, b. minister finansów w gabinecie Clemenceau, wnosi ponownie wypiastowany przez się projekt podatku postępowego od dochodów, który ma właściwość specjalną doprowadzania do wściekłości całej francuskiej możno- i plutokracji, co jest najlepszym dowodem, że projektowane prawo będzie skuteczne.

W takim będąc składzie i mogąc liczyć na poparcie lewicy radykalnej (ewentualnie i skrajnej) nowy gabinet Monisa zakreśla sobie następujący program: w sprawie pracowników kolejowych, rząd zamierza wnieść prawo, tyczące porządku na kolejach i mające na celu zabezpieczyć prawidłowe ich funkcje oraz powściągnąć t. zw. *sabotaż*. By zażegnać strajki kolejarzy, rząd chce ustanowić rozejm przymusowy, na razie zaś wywrze nacisk na Tow. kolei prywatnych, by za przykładem dróg państwowych i w celu uspokojenia fermentu — przyjęły napowrót pracowników relegowanych.

Rząd zamierza poprzeć i przeprowadzić prawo podatku postępowego i kontynuować będzie dzieło laicyzacji szkół — w duchu wybitnie wolnomyślnym i antyklerykalnym. Specjalną troską otoczy sprawę wzmocnienia marynarki (*le programme naval*) i co za tym idzie—sprawę obrony narodowej, licząc na solidarną w tym kierunku pracę wszystkich bez wyjątku obozów politycznych i wszystkich klas narodu.

Listy z Galicji.

VI.

Wybory do lwowskiej Rady miejskiej.

Lwów jest wielkim ogniskiem polskiego życia kulturalno-politycznego. W czasach ostatnich, rozrasta się szybko, stając się wielkim i pięknym miastem. Lwowska rada miejska jest posterunkiem poważnym, o zdobycie którego różne stronnictwa polityczne starają się usilnie.

Do niedawna jeszcze rządy w stolicy Galicji spoczywały w rękach t. z. Strzelnicy czyli mieszczan lwowskich (rękodzielników, kupców i drobnych przemysłowców), ludzi niezłych, wrażliwych na popularne hasła narodowe, zarazem jednak ciasnych, tworzących koterje, niedołężnych, uprawiających system protegowania swoich ludzi z uszczerbkiem dla miasta. Ci „kołtuni", jak ich nazywają, bali się i boją aby władza nie wymknęła im się z rąk, za mieszczan uważają tylko rękodzielników, kupców i przemysłowców żywiąc pewną niechęć i niedowierzanie do inteligencji. Ponieważ życie ekonomiczne we Lwowie, w epoce powstania autonomji krajowej, a nawet i dziś jeszcze nie jest bardzo natężone, ponieważ przemysł wielki nie istnieje w nim prawie — mieszczaństwo lwowskie nie zróżniczkowało się więc bardzo i nie wytworzyło potężnego patrycjatu. Tym też się tłomaczy, że mieszczanie lwowscy naogół od 1848 r. aż do chwili obecnej byli dość demokratyczni, co odbiło się na ustawie wyborczej do Rady miejskiej, która, pod tym względem wyprzedziła, w początkach ery konstytucyjnej, inne miasta austrjackie — i nie wprowadziła systemu kurjalnego.

W Galicji miasta stołeczne Lwów i Kraków mają swoje odrębne ustawy, następnie 30 innych miast większych ma jedną ustawę wspólną, nakoniec 140 z górą miasteczek posiada — inną, także wspólną.

W czasach ostatnich, wpływ inteligencji we Lwowie wzrósł znacznie, i Strzelnica przestała już panować niepodzielnie w mieście. Narodowi-demokraci, centrum (złożone z demokratów bezprzymiotnikowych), klub Reformy składający się ze szczerych postępowców i radykałów — są to stronnictwa, które współubiegają się o wpływ i władzę w Radzie miejskiej ze Strzelnicą.

Kołtuni lwowscy, skutkiem rozrostu miasta i zwiększenia się jego potrzeb — przestali być odpowiednimi jego zarządcami. To też utyskiwania na ich gospodarkę stały się coraz częstsze i słuszniejsze.

Miasto wymaga różnych reform w dziedzinie hygieny, dobroczynności publicznej, oświaty i kultury, których Strzelnica zupełnie nie rozumie.

W czasach ostatnich, w gospodarce miejskiej, przeprowadzono pewne pożyteczne zmiany, przeważnie z inicjatywy klubu reformy. Są to dopiero jednak pierwsze kroki. Tymczasem żywioły konserwatywne (strzelnica) i narodowi demokraci opierają się wszelkiej radykalniejszej polityce w gospodarce miejskiej, oraz zdemokratyzowaniu Rady przez odpowiednią reformę wyborczą.

Nie mogę tu wchodzić w szczegóły, zrobię to później, w artykule specjalnie poświęconym Lwowu, obecnie poprzestanę tylko na charakterystyce stronnictw w Radzie miejskiej, akcji wyborczej, oraz jej rezultatów.

Centrum różni się bardzo mało od narodowej demokracji, wobec Rusinów jest ono równie szowinistyczne jak i ona, tylko wobec żydów zachowuje się poprawniej. Stronnictwa te są właściwie bardzo umiarkowane i różnią się nie tyle pod względem programu, ile raczej taktyki. Centrum, czyli demokraci, nie są tak krzykliwi i obłudni jak wszechpolacy.

Jedynie tylko klub reformy gospodarki miejskiej z panami Śliwińskim, Janikiem, Laskownickim, Aszkenazym i Lisiewiczem na czele jest stronnictwem postępowym i demokratycznym a nawet radykalnym w lwowskiej Radzie miejskiej.

Oprócz przedstawicieli powyższych stronnictw byli jeszcze wsród radnych t. z. dzicy do żadnego nie należący stronnictwa

Radnych jest we Lwowie stu: z pośród nich do strzelnicy należało koło 40, do klubu reformy koło 20, centrum miało kilkunastu członków, nieco mniej narodowi demokraci, reszta należała do klubu chrześcijańskiego i dzikich.

Co lat trzy 50 radnych ustępuje i tyluż należy na ich miejsce wybrać, prócz tych co mają wejść na miejsce dobrowolnie ustępujących, albo zmarłych.

System wyborczy do Rady miejskiej daje prawo głosu: posiadaczom nieruchomości w mieście opłacającym z tego tytułu podatek, osobom opłacającym podatek zarobkowy w wysokości 16 kor. bez dodatków, tym co z innych powodów płacą 24 kor. podatku bez dodatków, duchowieństwu, urzędnikom państwowym, krajowym i gminnym, profesorom wyższych zakładów

naukowych i różnych szkół, adwokatom, notarjuszom, doktorom wszystkich fakultetów, redaktorom pism, technikom i t. p.

Wybieralności pozbawieni są: oficerowie będący w służbie, słudzy i osoby żyjące z dziennego i tygodniowego zarobku, pobierający wsparcie jako ubodzy.

Na 206,000 mieszkańców tylko 16,000 z górą (w przybliżeniu) ma prawo głosu. Widzimy więc, że obowiązujący obecnie system wyborczy jest wadliwy gdyż usuwa zbyt wielu obywateli.

Kobiety mogą głosować przez zastępców.

Klub Reformy pragnął zmienić istniejący system wyborczy w kierunku powszechnego czteroprzymiotnikowego prawa głosowania; inne stronnictwa jednak na to się nie zgodziły, proponując tylko dodanie 5 radnych z wyborów powszechnych ograniczonych trzyletnią osiadłością.

Agitacja wyborcza prowadzona była energicznie przez różne stronnictwa. Klub reformy gospodarki miejskiej zwoływał mnóstwo zgromadzeń, na których, bez osłonek, poddawał ostrej krytyce korupcje w zarządzie miasta, rozpatrując sprawy miejskie z szerszego stanowiska.

Narodowi demokraci, we właściwy sobie sposób, rozwinęli namiętną i demagogiczną agitacje, przed stawiając klub reformy jako stronnictwo antynarodowe. *Słowo Polskie*, *Goniec* i pokrewne im organy nie cofały się przed najwstrętniejszymi insynuacjami skierowanymi przeciwko przywódcom klubu Reformy, zwłaszcza zaś przeciwko panom Aszkenazemu i Laskownickiemu.

Narodowi-demokraci działali w ścisłym związku ze strzelnicą, centrum (klub demokratyczny) nie złączył się z tamtymi stronnictwami ponieważ p. Grabski nie mógł przebaczyć p. Battaglji, że wystąpił z narodowej demokracji. Wódz wszechpolaków stawiał żądanie, aby p. Battaglja nie był kandydatem centrum do Rady.

Klub Reformy zawarł kompromis z centrum.

Okoliczność ta dała powód *Słowu Polskiemu* do urządzenia naganki na demokratów bezprzymiotnikowych, że łączą się z żywiołami antynarodowymi.

Ludowcy, zupełnie niepotrzebnie, utworzyli odrębny komitet i własną listę, chociaż członkowie ich w Radzie miejskiej zasiadali w Klubie Reformy. Alfonsowi Mikołajskiemu chodziło o to, aby go poparły inne stronnictwa, i dlatego nie chciał iść razem z Klubem reformy. Ten lichy lekarz i gorszy jeszcze polityk skoncentrował w swoim ręku akcje wyborczą ludowców za którą jest przeważnie odpowiedzialny.

Kobiety utworzyły oddzielny komitet i prowadziły dość szeroką agitację wyborczą. Niestety, całe zachowanie się Komitetu kobiecego wykazało zupełną niedojrzałość polityczna jego członków. Na czele jego stanęła panna Dulębianka, która wbrew opinji przeważającej na wiecach kobiecych, postanowiła ułożyć listę kandydatów kobiecych do Rady miejskiej kierując się nie względami politycznymi, lecz „etycznymi".

Komitet pań postanowił zbadać „etykę" 53 kandydatów do Rady miejskiej Niewiadomo jednak na czem opierał swoje „studja" w tym względzie. Zamiast zalecać tylko osoby postępowe, znane z tego, że są zwolennikami zupełnego równouprawnienia kobiet, komitet damski umieścił na swojej liście także ludzi znanych ze swoich konserwatywnych poglądów, oraz jawnych przeciwników emancypacji politycznej słabej połowy rodzaju ludzkiego. Prof. Halban konserwatysta zdeklarowany, sekretarz Izby hand. przem. Stesłowicz przeciwnik dopuszczenia kobiet do sejmu i parlamentu, prof. Finkiel dobry historyk, ale człowiek ciasny, zbliżony do demokracji narodowej, prof. Zakrzewski Stanisław, znany ze swoich machinacji wyborczych i brutalnych napadów na przeciwników przed laty kilku i bity za nie w tym czasie oraz kilku innych narodowych demokratów — byli umieszczeni na liście komitetu kobiecego, pomalowanej, bardzo trafnie, na zielono.

P. Dulębianka chciała koniecznie zrobić jakiś polityczny wynalazek. Ludzkość po wiekowym doświadczeniu, doszła do wniosku, że partje polityczne są potrzebne, i że radnych i posłów wybiera się wedle ich przekonań. Panie lwowskie, grupujące się koło komitetu kobiecego, uznały, że ludzkość się pomyliła i postanowiły głosować „etycznie". Dlatego też umieściły na swojej liście różnych narodowych demokratów osobiście uczciwych, ale krętaczy, demagogów i szalbierzy w życiu publicznym. Nie mogły nawet poprzestać na jednym narodowym demokracie p. Adamie, założycielu bursy, człowieku popularnym, musiały jeszcze wziąć p. Zakrzewskiego.

Panie te nie mogły tego zrozumieć, że „etyczni" ludzie głosują ze swoimi klubami, i że „etyka" ich nie może zmienić taktyki ich partji.

Klub Reformy zrobił krok bardzo ważny i na liście swojej umieścił dwu Rusinów, znanych we Lwowie i pojednawczo nastrojonych wobec Polaków.

Narodowa demokracja i inne spokrewnione z nią stronnictwa wszczęły z tego względu alarm.

W przededniu wyborów 27 lutego, klub reformy urządził w największej sali we Lwowie w pałacu sportowym wielkie zgromadzenie. Przybyło na nie 6,000 osób. Takiego zgromadzenia Lwów jeszcze nie widział.

Niestety wszystkie te wysiłki zostały, w znacznym stopniu, sparaliżowane przez zwykłe nadużycie kierowników strzelnicy, mających za sobą prezydenta Ciuchcińskiego i urzędników magistrackich.

Pod rozmaitymi pozorami, niedoręczono koło 3,000 legitymacji wyborczych. Legitymacje te rozsyłano zbyt późno, osobom zaś, które ich nie otrzymały w domu i zgłosiły się po nie do ratusza — wydawało je kilku urzędników bardzo wolno. Wiele osób nie mogło się po nie zgłosić z braku czasu. Ponieważ mających prawo głosu było 16,000 z górą niedoręczenie więc prawie 3,000 legitymacji musiało mieć decydujące znaczenie.

Naturalnie, że zwolennicy strzelnicy i sprzymierzonej z nią narodowej demokracji otrzymali legitymacje, poszkodowanymi zaś byli wyborcy opozycyjni i niepewni. Uwzględniwszy wpływ tego nadużycia na przebieg głosowania przyznać należy, że rezultat jego nie jest wcale dowodem świetnego zwycięztwa stronnictw „narodowych".

W roku bieżącym zainteresowanie się wyborami do Rady miejskiej było większe niż przed trzema laty: w głosowaniu wzięło bowiem udział 11,035 osób, podczas gdy poprzednio tylko 8,100. Poszczególne listy uzyskały następującą ilość głosów:

narodowo demokratyczna	1742
związku organizacji narodowych (zbliżonych do nacjonalistów)	743
Klubu Reformy gospodarki miejskiej	1412
Strzelnicy (kołtunów)	1399
handlowo-przemysłowa	1011
demokracji polskiej (centrum)	552
urzędników autonomicznych	669
katolicko-narodowa	545
żydowskich mieszczan	734
rusińska	541
urzędników państwowych	485
chrześcijańsko-narodowa	216
ludowa	204

Reszta głosów padła na 14 pozostałych list małych komitetów, komitet p. Dulębianki otrzymał 21 głosów.

Wszystkich list było 33.

Narodowi demokraci, kołtuni, oraz urzędnicy głosowali razem, żywioły te zawarły kompromis także

z ludowcami. Centrowcy uzyskali też głosy listy przemysłowo-handlowo i niektórych innyc.

Klub Reformy, znaczna część żydów, Rusini szli razem. Na liście Klubu Reformy byli ludowcy i odwrotnie.

Socjaliści postawili 4 kandydatów, którzy umieszczeni byli na listach Klubu Reformy (3) i ludowców (4). Właściwie nie było żadnej listy kandydatów należących wyłącznie do jednego tylko stronnictwa. Pokrewne stronnictwa zamieszczały wzajemnie na swoich listach swoich kandydatów.

Zważywszy, że lista klubu Reformy uzyskała 1,412 głosów, a strzelnicy 1,399, przyść należy do wniosków, że kołtuni ponieśli właściwie sromotną klęskę.

Przed trzema laty narodowi demokraci mieli 1,900 głosów, strzelnica 1,500, a klub Reformy 800. Widzimy więc, że właściwie klub reformy zyskał obecnie znaczną ilość głosów, podczas gdy dwa inne kluby straciły pewną część głosów.

Dziś niepodobna jeszcze przewidzieć ściśle ostatecznego wyniku wyborów. Nie ulega jegnak wątpliwości, że narodowi demokraci uzyskają znacznie więcej niż poprzednio głosów, pomimo tego iż faktycznie uzyskali na listę swoją mniej głosów niż dawniej. Tłomaczy się to tym: że różne małe niewyraźne komitety występujące oddzielnie zawarły sojusz z narodową demokracją. Zwycięztwo jej jest więc wynikiem pewnego rodzaju dyplomacji i demagogji, a nie rzeczywistego wzrostu członków stronnictwa. Następnie żywioły chwiejne, niby postępowe, dały się wziąć na frazesy „narodowe” i głosowały za nacjonalistami.

Dyscyplina stronnictwa odegrała także znaczną rolę.

P. Grabski ze swoimi pachołkami obecny był w ratuszu podczas wyborów i kierował nimi. Hjeny wyborcze czekały na jego komendę. Mimo to jest rzeczą prawie pewną, że gdyby wszystkim wyborcom doręczono logitymacje, to zwyciężyłby klub Reformy. W każdym razie zapewne zatrzyma on dotychczasową ilość swoich członków.

Agitacja przedwyborcza zrobiła także swoje: mieszkańcy Lwowa, z ust członków klubu Reformy, dowiedzieli się wielu rzeczy o gospodarce miejskiej.

Ostatnie wybory do Rady miejskiej przekonywają raz jeszcze, że przeczulenie pseudo-narodowe jest w Galicji głównym sprzymierzeńcem wstecznictwa, że utrudnia ono reformy demokratyczne. Żywioły postępowe powinny więc bezwzględnie zwalczać frazeologję nacjonalistyczną, śmiało wysunąć sprawę porozumienia się z Rusinami, oraz demaskować rozmaite pseudo-postępowe żywioły, wysługujące się narodowym demokratom.

Klub Reformy, zdaniem moim, powinien utworzyć stale funkcjonującą organizację miejską, przez utworzenie komitetów dzielnicowych i powołanie mężów zaufania. Tylko organizacja stała żywiołów postępowych uwolnić może stopniowo Lwów od szarańczy narodowo-demokratycznej.

Stała organizacja przyzwyczai ludzi do prawidłowego działania, do dyscypliny partyjnej, i ułatwi późniejszą akcje wyborczą do ciał reprezentacyjnych w stolicy, kraju i państwie.

Ludwik Kulczycki.

Samobójstwo jako objaw społeczny.

Związek kobiet katolickich wysunął niedawno na porządek dzienny kwestję samobójstw, których cyfra w ostatnich latach wzrasta w Warszawie z niezwykłą, prawie nieznaną dotychczas w statystyce, szybkością. Trudno przesądzać, czy i o ile mogą być płodne usiłowania, aby zapobiedz złemu przez udzielanie moralnej i materjalnej pomocy jednostkom, stojącym na progu samobójstwa. Rezultaty dopiero pokażą, co na tej drodze osiągnąć się daje. Lecz inicjatywa ta należy całkowicie do zakresu zwykłej indywidualnej dobroczynności, uwzględniającej oddzielne zdarzenia bez uwagi na społeczne ich podłoże; może ona być ważną w swych skutkach dla jednostek, lecz, zwalczając tylko objawy procesów, sięgających głęboko w życie społeczne, nie może wywrzeć na to życie doniosłego i trwałego wpływu. Chociaż zaś w naszych warunkach innego rodzaju działalność społeczna może być utrudnioną, jednakże zdanie sobie sprawy z jej potrzeby i zakresu nie jest bynajmniej zbytecznym.

Samobójstwo jest właśnie tylko *objawem* różnorodnych, czasem stałych, czasem przejściowych, lecz zawsze niemal szeroko rozgałęzionych społecznych przebiegów. Przyczyny każdego wypadku samobójstwa są zawsze takie same lub te same, co przyczyny niezliczonych innych zjawisk, które tylko mniej zwracają na siebie uwagę, nieraz są niedostępne dla powierzchownej obserwacji, lecz w swym nagromadzeniu są nieporównanie ważniejsze dla życia społecznego, niż ów jeden wyjątkowy wypadek.

Każdy fakt indywidualnej daje się podobnie rozpatrywać jako objaw, z każdego dają się wyciągnąć liczne wnioski o stosunkach, panujących w danym środowisku i w danym okresie czasu. Ale to symptomatyczne znaczenie w większym może stopniu przysługuje samobójstwom, niż jakimkolwiek innym faktom, ponieważ względy, skłaniające pewną jednostkę do odebrania sobie życia, najczęściej są dla niej ważniejsze od wszelkich innych. Można więc wnioskować, że te względy, o tyle, o ile są ogólno-społecznymi, dla wszystkich jednostek, należących do tej zamej grupy społecznej (jeżeli nie dla wszystkich ludzi wogóle) muszą być ważne. Sytuacja, w której znalazł się samobójca, jest albo może się stać, z pewnymi zmianami, silnie odczuwaną sytuacją wielu jednostek z jego otoczenia. Widocznie wchodzą tu w grę najżywotniejsze społeczne interesy. Gdy zaś samobójstwo jest spowodowane przez „wyjątkowy” zbieg okoliczności, lub gdy odbierająca sobie życie jednostka umysłowo czy moralnie znajduje się poniżej lub powyżej przeciętności, odczuwa silnie takie rzeczy, które przeciętnych jego współobywateli słabo wzruszają,— nawet wtedy społecznie doniosłym pozostaje fakt, że takie „wyjątkowe” zbiegi okoliczności są w danych warunkach możliwe, lub że takie niedostosowane do przeciętnej normy jednostki w tym społeczeństwie istnieją.

Symptomatyczne znaczenie samobójstwa podkreśliła już po części socjologja[1]). Nieraz też w praktyce społecznej posługiwano się zaszłymi w pewnych warunkach samobójstwami jako środkiem do obudzenia opinji publicznej, do skierowania uwagi ogółu na te warunki. Uderzając wyobraźnię, opis samobójstwa jest doskonałym narzędziem agitacji. Każdy zapewne zna przykłady zastosowania tego narzędzia. Przytoczymy tylko samobójstwa z nędzy, wywołanej przez bezrocie, które na Zachodzie wpłynęły na szybszy rozwój organizacji społecznych i państwowych przeciw brakowi pracy; samobójstwa więzienne, jako świadome protesty jednostek przeciw warunkom, wywołujące w opinji publicznej odpowiednią akcję, jaką np. niedawno mieliśmy przed oczyma.

Oddawna już doniosłość samobójstwa jako objawu, zauważyła i wyzyskała literatura piękna. Samobójstwo w powieści lub dramacie nie jest i nie powin-

---

[1]) Masaryk: „Der Selbstmord als sociale Massenerscheinung der modernen Zivilisation”. Wien. 1881. Durckheim. Le suicide. Paris, Alcan, 1897.

no być prostym efektem; przez to samo, że wymaga ono usprawiedliwienia, że autor je przedstawia, jako jedyne wyjście z pewnego splotu psychologicznych lub społecznych warunków, służy ono do większego uwydatnienia całej grozy przedstawionej sytuacji. Ten ostatni czyn rzuca jaskrawe światło na całą poprzednią działalność bohatera, podnosi ważność pobudek i przeszkód, i w związku dopiero z całą akcją staje się tragicznym.

Przyczyny samobójstwa więc, które dotychczas dorywczo były analizowane i sporadycznie tylko budziły inicjatywę do czynu, powinnyby stać się przedmiotem gruntownych badań i stanowić trwałą podstawę orjentacji dla systematycznej działalności prawodawczej, ekonomicznej, publicystycznej.

Zwykła statystyka samobójstw, która wogóle dość bogatym już rozporządza materjałem, oczywiście jednak zupełnie tu nie wystarcza. Przedewszystkiem w wielu wypadkach przyczyny samobójstw wogóle nie dochodzą do wiadomości zbierających odnośne dane instytucji; następnie, niemniej często informacje, dawane przez rodziny lub przez niedoszłych samobójców, są wprost świadomie fałszywe; a wreszcie, nawet wtedy, gdy te informacje zgadzają się z prawdą, statystyka zadawalnia się najbardziej ogólnikowem stwierdzeniem przyczyny (np. „nędza", „straty materjalne", „choroba umysłowa" i t. p.).

Łatwo zaś pojąć, że szczegółowe zbadanie przyczyn jednego wypadku samobójstwa więcej dostarczyć może materjału, niż liczne podobne ogólniki. Dane statystyczne mogą być pożyteczne, o ile dostarczają wskazówek, jakiego rodzaju wogóle są najpowszechniejsze przyczyny samobójstw, a więc jakie mianowicie wypadki należy przedewszystkiem brać pod uwagę. Lecz to jest dopiero punkt wyjścia — i konieczną się staje odpowiednia organizacja wywiadów niezależnie od biur statystycznych.

Rzucamy na razie pomysł takiej organizacji, nie pogłębiając go jeszcze. Kwestję tą mogłaby wziąć w ręce jakaś instytucja o zbliżonym zakresie działania. Podkreślić zaś należy, że przy odpowiednim prowadzeniu odnośnych badań rezultaty ich byłyby nie tylko, jak mówiliśmy, wskaźnikami stałymi i nieomylnymi dla działalności społecznej, lecz zarazem posiadałyby charakter ważnych przyczynków do rozwoju naukowej socjologji.

F. Znaniecki.

Z kuźni bluźnierstw.

Aforyzmy o Czynie.

IV.

Kucie aureoli. Jeden mój mądry przyjaciel zauważył, że teraźniejszej formy entuzjazmu patryotycznego nauczył Polaków Mickiewicz. Naturalnie, materjalizm dziejowy śmieje się z takiej uwagi do rozpuku. A jednak i Wilde mówił podobne rzeczy, gdy twierdził, że artysta dopiero uczy ludzi patrzeć na przyrodę i że mgły londyńskiej nie było przed obrazami Corota W czasach wznowionego idealizmu filozoficznego nie powinny właściwie takie twierdzenia uchodzić za zbyt ryzykowne. Mając to na myśli, można dopiero ocenić ogromną pracę szlachetnego tryumwiratu: Daniłowski, Strug, Katerla, która sobie poprzysięgła unieśmiertelnić nowego żołnierza polskiego. „Bo tylko poezja polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy żołnierzu!" (Sen o szpadzie). Nigdy jeszcze nie było tak wielkiej świadomości ważności czynu literackiego, nigdy literatura nie podjęła szczytniejszego zadania jak w tej likwidacji, w tej — powiedzmy nieufnie — pia fraus. „Takim on był, nasze serca kładziemy w zastaw!" Dociągnąć to, co było w intencji, zakryć skazy, odlupać brzydkie narośle, przepuścić drobne lecz najcenniejsze drgnienia przez najlepsze mikrofony — te czyny literackie kulminujące w „Jutrze" Struga i scenie tortur w „Róży" zachwycają mnie więcej, niż...

„Ci ludzie". W dwojaki sposób usiłuje poezja a za nią i opinja sympatyków pojmować „tych ludzi". Najpierw bohater ponury: według zasad „kategorycznngo imperatywu", zawartego w dziełach Żeromskiego, twardy obowiązek, głos sumienia na tle głuchego zwątpienia, credo — *quia durum!* Na tej poezji zdaje się rzeczywiście byli wychowani ludzie rewolucji, jest też ona dla Struga punktem wyjścia i powrotu.

Drugi typ zamierzony: bohater jasny, pełen niezłomnej wiary, „wesoły, jak dziecko", o gołębim sercu, z nieustanną wizją przyszłości ponad sobą. Ten typ — skonstruowany rozumowo przez marzycieli jako ich kontrast — w życiu chyba mało się uwydatnił, w poezji po części u Daniłowskiego i u Markowskiej, (w której wierszach zdaniem pewnego pisma socjalistycznego „pełno jest gwaru wojennego i szczęku broni"). Tenci to jest właściwy witeź.

Na co mają Polacy monopol czyli „U nas inaczej". W „Życiu" Daniłowskiego ktoś pisząc o Strugu — (naturalnie pretensjonalnym stylem; w którym np. dopełniacz wyprzedza rzeczownik, w którym uwijają się „roje rycerne" i „mocarni rycerze" a „światło księżycowe gra seledynem na rycerskich koncerzach i stalowych zbroicach") — radby go ustroić we wszystkie kolory i raz powiada, że bohaterowie Struga „są tak zlani... z celem... że nie widać linji demarkacyjnej między człowiekiem a czynem" wkrótce zaś, że „Strug odkrył pod togą bohatera duszę ludzką, cierpiącą i wijącą się... w ciągłej pogoni za harmonijnym pogodzeniem czynu z sobą". Tak, tak, oni są z żelaza, a to żelazo ze słomy. Za główną cechę rzeczy Struga poczytuje „motyw wiary". „Ta wiara, nie mająca uzasadnień ani w zewnętrznej rzeczywistości, ani w ideologji oficjalnej rodzi się... w półświadomym bycie" (półświadomy byt, rasa, życie, naga dusza — radium dla kpów, tym udowodnisz, co zechcesz). „Podczas, gdy u pisarzy porewolucyjnych w Rosji wiara bohaterów jest dziwnie chwiejną... ideał usuwa się w mgłę a na jego miejsce wkracza pesymizm i nihilizm ducha, postaci Struga nigdy nie zatracają tradycji bojowych". „To może być wyrazem tragedji duszy rosyjskiej, wiecznie szukającej sposobów wyjścia z matni swej wybujałości i krańcowej natury. *Inaczej u nas...* W Polsce zachował się typ żelazny (strach, ile ci panowie potrzebują żelaza!) typ stalowej (ach, stal!) duszy upartego kresowca... typ rycerza wiary. Niedarmo powiadają o Polakach jako narodzie wierzącym zawsze i wszędzie (za to nas tak papież kocha!) Socjalista polski, bojowiec, mimo, że odrzucił wiarę w tradycyjną religję, skoro zdobył świat ideału, uwierzył weń silniej jeszcze, bo ten stał w związku z bytem jego bezpośrednim (znowu radium) i szedł na ofiarny bój nakształt krzyżowca z czerwonym sztandarem"...

Taka wiara właśnie to byłby prawdziwy nihilizm. Wiara prawdziwa wyrasta na gruzach niewiary, jest czymś, co tylko przez to żyje, że się wiecznie odnawia. Powiedzieć „wierzę" jest obelgą dla przedmiotu wiary. Wierzyć jest *verbum inchoativum.*

Ludzie Struga wcale nie są takimi głuptaskami, ich t. zw. wiara jest smutną i pełną zastrzeżeń. Już choćby jako artysta musi mieć w dziełach swoich pewne tajne rezerwy, na które sztab patrzy przez palce, jeżeli chce mieć w nim swego oficjalnego poetę. Pozór wiary u niego jest tylko wypływem skromności tego pisarza, który „*służy* piórem sprawie".

Karol Irzykowski.

KRYTYKA.

Nowa powieść Z. Rygier-Nałkowskiej.[1]

„Narcyza" jest historją cichej martyrologji istoty estetyzującej, szukającej wszędzie ładności, uwięzionej w płytkim łożysku rodziny, skąd wydobyć się nie może z braku silnych pragnień i entuzjazmów. Wszystko jest w niej jakoby tymczasowe — jej kokieterja i uczucia robią wrażenie stroików i przebrań — nie zaś dążeń samoistnych. Ostatecznie, szczera prawdziwość i bezpośredniość — oto co nie jest właściwe Narcyzie. Jest ona zasadzką na ludzi—w życiu, a na recenzentów — w powieści: znajdą się tacy, którzy w nią uwierzą. Ma dużo czasu — jak każda panna— i uczucie zmrożone. Ma ciekawość, lecz nie ma pragnień. W żadnym momencie swego życia Narcyza się nie spala, a momenty przychodzą nie dla jednolitej głębszej treści, lecz dla mnóstwa szczegółików estetycznych. W Narcyzie obserwować można rozbicie wrażliwości kobiecej na okruchy: mężczyzna przeżywa moment jako kształt jednolity, kobieta jako grono, złożone z barwnych, połyskujących gracików. Stąd owa nieznośna małość i schludność kobiecych spostrzeżeń (w rodzaju naprzykład takim: Róża wzięła jabłko z koszyka i zaczęła je zjadać w sposób nader ozdobny (str. 259), wśród których mężczyźnie robi się duszno. Stąd również owa niefrasobliwa pewna siebie gościnność autorki, która oprowadza czytelnika po swym gospodarstwie powieściowym i pokazuje mu rozmaite miłe drobiazgi, może w przekonaniu, że zespół drobiazgów składa się zawsze na rzecz poważną i powabu pełną. Narcyza np. lubi krajobrazy. Stąd, ile razy znajdzie się na polu, czytelnik musi oglądać je z przodu, z tyłu, z prawej i lewej strony. Narcyza doznaje na chwilę przyjemnego wrażenia i stwierdza się raz jeszcze na przykładzie, że jest wrażliwa na piękno natury. Te ładne, mile opisywane krajobrazy są dla czytelnika rodzajem przymusowych odpoczynków w cieniu drzew, chociaż wcale nie jest zmęczony i chętnie raźniej ruszyłby w dalszą drogę, by nieprzerwanie towarzyszyć losom Narcyzy.

Narcyza jest istotą ostrożną, ciekawą, oschłą. Jest w niej zawsze coś nieporuszonego i zakrzepłego, gdzie jak podejrzane okienko lśni oko obserwujące. Posługuje się ludźmi, jak czynnikami wyzwalającymi. Andrzej jest jej potrzebny dlatego, że ze strony Maksa z powodu jego przewlekłej agonji doznaje zbyt wielu wrażeń przykrych. Jej uczucia mają niemiły wyziew fałszu, zwłaszcza gdy są serdeczniejsze. Bywa łzawą, lecz nie bolejącą. Zamiast żywiołu Narcyza ma zawsze wielką skłonność do roztrząsania pobudek swych czynów, do stwierdzania motywów, jakoby z obawy, że powoduje się instynktem. Narcyza bowiem to — ucieczka przed instynktem, a czasem—żal, że go posiada zbyt mało. Słowem — szereg pląsów i skoków zachęcających, które jednak nie prowadzą do niczego, bo zarówno filozofja jak namiętność rozwijają się tam, gdzie jest parcie żywiołowe. Narcyza jest uwięziona w obrębie gry i poza nią nie wychodzi. Jedną np. z jej igraszek jest: uczynić prawdą „hardy przesąd, że kierunki, którymi idzie nasza najwyższa pasja, zależne są całkowicie od aktów woli". Wszystko, co przeżywa, jest wstępem do czegoś, co nie następuje. Niema tego, co jedynie zbawia duszę w naszych czasach osłchych i ocala przed samopogardą—ekstazy. Nie urządza sobie nawet zwykłego dziś odszkodowania — w rozległości marzeń. Chodzić po łące i badać troskliwie ładność przyrody — oto jedno z jej zadań. Ileż tam troski, by nie pominąć ani jednego listka estetycznego! Miły rozsądek i dobre wychowanie prowadzą przytym Narcyzę na sznurku, którego to popuszczają, to ściągają, by nigdy nie stracić z oczu swej pupilki. Takie spacarowanie estetyczne jest tym milsze, że nie grozi żadną odpowiedzialnością: bezpieczeństwo zupełne odświeża jak wiew wachlarza.

Narcyza oszczędza się. *Jest zakochana w swej duszy.* Bada wpływ różnych uczuć na duszę własną, jak chemik wpływ kwasów na materję organiczną, — bezpieczna, bo wie, że jej dusza nie dozna uczuć śmiertelnych. Chciałaby wiedzieć jaknajwięcej kosztem jaknajmniejszym, zachowując świeżość skóry, piękno biustu i dobry apetyt. Pomimo wszelakich poczciwych uczynków, westchnień współczujących i obłoku dobrotliwości, który im stale towarzyszy, Narcyzy należą do wielkiej i bardzo rozpowszechnionej rodziny kobiet pasorzytów, usiłujących żerować estetycznie z cnotliwie spuszczonymi oczyma, nie zdobywając się nigdy na to, co usprawiedliwia grzech: gotowość spłonięcia na własnym ogniu. Zasadą takich natur jest bierność, wyczekiwanie, aż życie samo przyjdzie i odda się. Lecz aby zamaskować swą ociężałość, swój brak temperamentu i dreszcz przed sabatem, Narcyzy dokonywają szeregu eksperymentów: urządzają sobie turnieje między instynktem a wolą świadomą, nie mogąc mimo wszystko wyjść poza zakres jałowości.

Raz tylko Narcyza uczyniła krok w stronę bohaterstwa: kiedy usiłuje przełamać swą niezupełność, iść za instynktem i oddać się Andrzejowi, choć go nie kocha — w całej pełni. Tu groziło jej istotne niebezpieczeństwo: Andrzej — postać enigmatyczna — mógł się okazać osłem, a ona — rozkochaną w nim bez pamięci Tytanją. Oczekiwać ją mógł szereg doświadczeń gorących, przykrego a bardzo rzeczywistego rozczarowania, pokory wobec instynktu, którym głowa gardzi: słowem tu właśnie Narcyza mogła przekroczyć ów fatalny próg życia, przed którym stoi przezornie— obserwując, i znaleźć się w samym wirze niebezpieczeństwa. Narcyza bierze się do rzeczy z rzadkim u niej, choć zwodniczym zapałem. Urządza sobie bezładną ucieczkę samicy przed samcem, „śliczną zabawę w przerażenie", pełną jakoby pomyśleń zdradliwych, na koniu, przez las, wśród gałęzi, bijących po twarzy. Lecz to preludjum jest już najwyższym szczytem! Po tym kaskadowym wygórowaniu potok jej „miłości" rozlewa się płasko i przyziemnie. Jak wszystko, co posyła jej los, tak i swą „miłość" Narcyza obraca na różne strony, przygląda się jej, wącha, lecz szaleństwo nie przychodzi. Prawdziwe dary życia dobywać trzeba z ognia szalonymi rękoma.

I gdy Narcyza oddaje się wreszcie swemu przygodnemu wybrańcowi, to na dnie kielicha tej „miłości" znajduje kroplę prawie bezbarwną i bez smaku— ani zbyt słodką ani gorzką — raczej nijaką! Skoro tylko dotknęła zębami rumianego owocu życia, już krzywi się i wypluwa miazgę.

I jak kompletowanie ładnych krajobrazów (t. j. wybrane skrawki przyrody!) tak i ów „upadek" nie jest dla Narcyzy powodem do wyjścia z czegoś i rozpoczęcia czegoś nowego. Natura jej po tej przygodzie—dość ważnej chyba w życiu dziewicy!—pozostaje niezmienna. Niema nawet wyrzutów sumienia, co sobie Narcyza tłómaczy w ten sposób, że jej przygoda z Andrzejem nie jest kapitulacją wobec żądzy, lecz świadomie wywołanym zdarzeniem, więc nie może jej plamić. Andrzej odegrał rolę klapy bezpieczeństwa: aby pierś Narcyzy nie pękła pod uciskiem ciemnych wrażeń. Potym zaczyna się ciąg dalszy obserwowania przyrody i dogorywającego zwolna Maksa, lekkie sondowanie charakteru Róży i głucha gorycz wskutyk pospolitości bliźnich. Na końcowych stronicach

[1]) „Narcyza". Kraków. 1911. Spółka naklad. „Książka".

książki rozczarowanie schodzi na Narcyzę, lecz jest to tylko nowa poza wobec świata.

Cała bowiem Narcyza jest tylko pozą, wyczekiwaniem biernem, ostrożnością. Analizuje swe pobudki, aby okryć pozorami świadomych zamierzeń — słabość instynktu, którego nie wystarcza na trwalszą namiętność Przybiera rozmaite pozy, mające świadczyć o wysiłku wyjścia poza siebie, o przebudowie swej natury, gdy tymczasem właściwie: tylko wyczekuje! Najgłębszą chyba jej treścią jest potrzeba ozdobnego fałszu, obawa przed odsłonieniem siebie.

Tragizm Narcyzy (jak chce p. L. Belmont) płynący rzekomo z poczucia fragmentaryczności życia, jest tragizmem żołnierza, który ukrywszy się w rowie, obserwuje stamtąd bitwę i mówi: „czy zwycięztwo padnie na naszą stronę, czy na przeciwną — złem jest wojna". Narcyza nie umie inaczej kochać swej duszy, jak zamykając ją w wieży z kości słoniowej. Cofa się i przybiera postawę wyższości wobec ludzi, nim jeszcze poznała ogień życia. Nie próbuje wyczerpać wszelkich możliwych środków, jak np. Marja Magdalena, która z nierządnicy stała się świętą, nie chce się przełamywać, bo uznaje siebie za piękną. Dalszy ciąg jej życia będzie się toczył po dolinie ładnych widoków i bezpiecznych obserwacji, unikając szczytów stromych a niebezpiecznych. Narcyza jest typem bardzo prawdziwym i bardzo częstym, a jako zamierzenie literackie jest niepospolitą próbą — wyidealizowania oschłego charakteru.

Leon Choromański.

Kornel Makuszyński: **Dusze z papieru**, 2 tomy, Lwów, 1911. Nakładem Tow. Wydawniczego. Cena rb. 2.40.

Jest to zbiór bezpretensjonalnych szkiców, mogących złożyć się na obraz artystycznego dorobku teatru lwowskiego za przeciąg ostatnich lat kilku; jest przypadkowy (jak przyznaje sam autor) i dorywczy, gdyż przypadkowy i dorywczy bywa repertuar polskich teatrów, chłonących łakomie i bez należytego wyboru wszelkich import. Zbiór ten jest niekompletny; autor pominął w nim wiele scenicznych drobiazgów; usunął też sprawozdania o dziełach scenicznych, które ze zbytniej wszyscy rozpatrywali blizkości, aby móc zdobyć się na sąd bezstronny.

Autor w swe recenzje teatralne umie wlewać życie, dowcip i pomysłowość; dokoła owych „dusz z papieru" obleka żywe materjalne i konkretne kształty spostrzeżeń, wnikań, odczuć i przeżyć własnych, zawsze ciekawych, niekiedy głęboko indywidualnych. P. Makuszyński w swych feljetonach literackich przeżywa, niejako stwarza na nowo środkami własnej intuicji artystycznej, postaci widziane na scenie. Ma dla tych postaci szczery śmiech dziecięcy i szczere dziecięce łzy — poety.

Oto jak rozpoczyna p. Makuszyński recenzję swą o przedstawieniu dobrej znajomej naszej „Panny Maliczewskiej":

„Panna Maliczewska — pisze — jest to niewiasta jedna z tych, która najpierw ma złote marzenia i niema żadnej gaży, potym dostaje piętnaście koron miesięcznej gaży i ma marzenia na mniejszą skalę, wreszcie ma pieniądze, suchoty i już żadnych nie ma marzeń.

„Któż nie zna panny Maliczewskiej? Gra zwykle Anioła nad trupem Małgorzaty w „Fauście", albo jest damą dworu w „Rigolecie"; posiada parę bryantowych kolczyków za piętnaście centów, czytuje „Tajemnice dworu" i ma koniecznie bilet wizytowy z napisem: „artystka opery". Posiada zaś przytym wszystkim fałszywy głos i ogromnie dobre serce. W pewnej chwili życia ma kochanka, dlatego, że winna jest w jakimś sklepie trzy korony za halkę. Potym ma drugiego kochanka, bo ten jej powiedział, że ją naprawdę kocha, a niczego stworzenie takie nieszczęśliwe tak nie pragnie, jak miłości"...

„Co będzie z panną Maliczewską? Nic nowego. Wróci kochanek, przyniesie puszkę sardynek i butelkę taniego wina, potym znów przyjdzie egzekutor, potym trzeci kochanek z trzecią puszką sardynek, a panna Maliczewska będzie się śmiała jak zawsze, ale ponieważ jako chórzystka, jest mocno niemuzykalna, więc będzie się śmiała trochę fałszywie, bo na jakąś smutną nutę i trochę nieprzyjemnie, co jej zapewne zaszkodzi w miłosnej karjerze, bo l u d z i e n i e l u b i ą, a b y s i ę k t o ś z a i c h w ł a s n e p i e n i ą d z e ś m i a ł n i e n a t u r a l n i e, j a k p r z e z ł z y..."

Dość cytat. Sądzę, iż czytelnik poznał już, jak prostym więcierzem p. Makuszyński potrafi z dna duszy ludzkiej dobywać wielkie psychologiczne prawdy. Rzekłbyś: pod nuty, pisane przez Zapolską, podkłada on równoległy tekst własnych przeżyć, obserwacji i doświadczeń życiowych, oraz własną sztukę artystyczną. To też, jako analityk, poruszający się na gruncie bezpośrednich starć i konfliktów z obłudą życia, z miałkością duszy, z wyrafinowaniem egoizmu — p. Makuszyński, autor „Rzeczy Wesołych" jest pisarzem wprost niezrównanym. Strzały jego humoru, celnym rzutem wymierzane w serce całego pokolenia „Dulskich" świecą w oczach blaskiem djamentu, a w uszach świszczą wichrem śmiercionosnych wyroków zagłady. Tam, natomiast, gdzie poza rubieżą bezpośredniej obserwacji zaczyna się świat zawiłych zagadnień intellektualnych, gdzie otwiera się przepaść nierozpowitych zagadek duszy, męczących przełomów moralnych, słowem tam, gdzie myśl ludzka, porzucając szeroką płaszczyznę *powierzchni* zjawisk zstępuje *w głąb* dociekań, lub wzlata *ku górze* w mgławicę rodzących się w bólu utęsknienia przeczuć, — p. Makuszyński zatrzymuje się: tam kończy się jego talent i jego ciekawość artystyczna.

Omawiając np. „Zbrodnię i karę" Dostojewskiego, autor nie kusił się nawet o wydobycie z wnętrza dramatu całej zawartej w nim grozy zagadnienia; również recenzje jego z dramatów Ibsena nie stoją na wysokości tematu. To samo rzec można o feljetonie, poświęconym jednoaktówce St. Brzozowskiego p. n. „Milczenie". Jednakowoż, w bezradności swej, wobec pewnych zagadnień, autor ma tyle dziecięcego uroku i szczerej, nieprzymuszonej prostoty, że jeśli nie rozbroi nimi zawodowych zoilów, to w każdym razie poza sobą mieć będzie sympatję większość czytelników.

J. T.

Jan Lemański: **Kamień Filozoficzny**. Nowele. Satyry. Groteski. Lwów, 1911. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Str. 216.

Zamiast sprawozdania z książki niniejszej, dajemy szereg wyjętych z niej uwag i lapidarnych aforyzmów. (*Red.*).

Tłomaczenie z obcych języków jest i użyteczne i szkodliwe: użyteczne, gdy obcość nam służy; szkodliwe, gdy my służymy dla obcości.

Kto powiada: używamy rzeczy obcych, bo nie mamy swoich, temu odpowiada się: nie mamy rzeczy swoich, bo używamy obcych.

Przełożyć posąg Michała Anioła na język polski, to nie znaczy zrobić z niego choćby najwierniejszą kopję, tylko wykonać dzieło równe temuż co do wartości.

Przekładem Boga na ziemskość są piramidy egipskie; przekładem piramid na greckie jest sztuka

klasyczna; przekładem klasycyzmu na włoskie jest odrodzenie; przekładem odrodzenia na germańskość jest gotyk.

Nie o to chodzi, żeby wszystkie rzeczy w życiu potrzebne wyrabiać u siebie, tylko o to, żeby wszystko, cokolwiek u nas się wyrabia, miało wartość powszechną.

Nie można niczego tłomaczyć, dopóki się nie zrozumiało swego. Nie można korzystać z obcej treści, dopóki się nie owładnęło formą własną. Nie można być *kimś*, zanim się nie jest sobą. Nie można rozumieć innych, dopóki się nie zrozumiało siebie.

Pani, która utrzymuje pensję dla dziewcząt, gdzie uczą się różnych nauk, pochodzących z tłomaczeń, nazywa się bardzo odpowiednio—przełożoną. Jest to pani nie oryginalna, tylko *przełożona*. I takim jest u nas mniej więcej każdy przełożony, każdy zwierzchnik, który mądrość swą czerpie z przekładów.

Uczyć naprawdę można tylko siebie, wykładać siebie, szczepić coś w sobie. Uczenie innych jest kradzieżą cudzej uwagi, dla dopełnienia swoich braków.

Z listu do szanownego historyka literatury, lub krytyka estetycznego: Powie mi Pan, że dosyć zasługi wiedzieć cośkolwiek o tej lub innej z uznanych powag i że to właśnie stanowi kulturę? O Panie! To jest kultura, ale kultura pasorzytnicza, którą za wiele żyliśmy. Gdyby Cezar poprzestał na stwierdzeniu, iż przed nim był Aleksander Macedoński, to nie byłoby Cezara.

Kto zmniejsza grzech, ten uszczupla i cnotę.

Gdyby przyjąć, że Bóg nie stworzył grzechu, jeno cnotę, byłoby to utrzymywać, że Bóg nie jest wszystkiem.

Bóg jest zawsze tylko tym, czego jeszcze nie stworzył.

Aby Kościół mógł istnieć, potrzebne są grzechy. Dla ludzi cnotliwych Kościoła nie trzeba.

Człowiek cnotliwy i bezgrzeszny — to najzajadlejszy wróg Kościoła i księży, a raczej Kościól i ksiądz, to najsroższy dla człowieka cnotliwego nieprzyjaciel.

Kościół i ksiądz, doktór i aptekarz, mają wiarę w to, że nigdy nie zabraknie grzeszników i chorych.

Kościół powiada: grzesz, ale przychodź do mnie odgrzeszać się! Brudź się, ale przychodź do mojej pralni.

Kupić sobie ojczyzny za pieniądze nie można tak, jak nie można kupić sobie ojca. Sprzedać, to jeszcze można ojczyznę, ale nie kupić.

Gdyby ojczyznę można było kupić, to już dawno żydzi kupiliby Palestynę.

Ojczyzną naszą jest kraina, w której zrodził się nasz duch.

Wieczór dyskusyjny w P. Z. P.

We wtorek d. 7 b. m. w lokalu Polskiego Zjednoczenia Postępowego odbyło się zebranie członków, poświęcone dyskusji na temat „Postęp a popularność". Po zagajeniu obrad przez p. Wacława Łypacewicza, powołano na przewodniczącego zebrania p. Kłobukowskiego, na sekretarza zaś p. Turskiego. Przewodniczący udzielił głosu p. Łypacewiczowi dla zreferowania sprawy. Referent w obszernym przemówieniu tłómaczył istotę oraz przyczyny „niepopularności" dążeń postępowych w naszym społeczeństwie. Ponieważ zadaniem stronnictwa postępowego jest realizacja postulatów przyszłości, przeto w znacznym stopniu już sam program tego stronnictwa, zmierzający do przekształcenia teraźniejszości na podstawach demokratyzmu i najszerzej pojętego równouprawnienia wszystkich obywateli kraju, odstręczać musi od siebie te żywioły, których stanowisko w społeczeństwie wspiera się na przywileju lub na wyzysku innych, których dobrobyt, spokój i równowaga wyrasta z upośledzenia, ucisku albo ograniczenia reszty, społeczeństwa. Ta reszta niewątpliwie stanowi większość w narodzie, ale z powodu ciemnoty nie może stać się dotychczas potężną podstawą dla ruchu postępowego, który o wyzwolenie jej walczy. Nie rozumie ona swych potrzeb, nie ma poczucia swych interesów kulturalnych i daje wodzić się na pasku demagogji narodowo-klerykalnej, a niekiedy nawet ślepe otumanione żywioły dają się wprost szczuć przeciwko postępowi wrogom wolności społecznej i nieprzyjaciołom oświaty ludowej. Potęgą obozu postępowego jest nie liczebność materjalna, ale zwartość i nieustępliwość ideowa. Zrzekając się tych lub innych pozycji w swym programie, postępowcy snadnie pozyskać mogliby za cenę ustępstwa ideowego znaczne korzyści doraźne w postaci rozszerzenia swych wpływów. Atoli zdobycze takie nie byłyby trwałe; wcześniej lub później doprowadzić by musiały do rozkładu sił wewnętrznych stronnictwa. Postępowcy gardzą demagogją i tanią popularnością. Nie łudzą siebie majakami urojonych korzyści przez zawieranie kompromisów chwilowych z reakcją, i nie chcą też łudzić narodu. Nie chcą oni szerokich, bezkrytycznych warst upajać frazesem obietnic, których spełnienie nastąpić może jedynie w sferze cudu. Nie mają do rozporządzenia rozkoszy rajskich ani na tym świecie, ani na tamtym. Przed oczyma ogółu wskazują drogi pracy i obowiązku, sumienia i rozumu, nie zaś krainy cudownych ziszczeń i niedorzecznych fantazji.

Żywioły postępowe nie stają bynajmiej do współzawodnictwa ani z nacjonalizmem, ani z kosmopolityzmem, ale stanowią groźny czynnik dla wszelkich szalbierstw, wyzyskujących łatwowierność nieuświadomionych mas. Powiadają one do warstw burżuazyjnych: porzućcie dziki szowinizm nacjonalistyczny i równourawniajcie wszystkie poziomy społeczne; porzućcie fanatyzm religijny i zastąpcie przesądy światłem; porzućcie gwałty i zastąpcie je sprawiedliwością. Do ludu zaś wiejskiego odzywa się tymi słowy: otrząśnij się z niesumiennych opiek, biedny i ciemny olbrzymie, odpędź fałszywych protektorów i pokątnych doradców, dźwignij się i żyj samodzielnie. Głosząc takie hasła, występując z taką namową, zali mogą postępowcy liczyć na poklask i uznanie sfer klerykalno-szlacheckich, które pragną lud jaknajdłużej utrzymać w bezwolnej, posłusznej sobie wegetacji? To też zdają oni sobie sprawę doskonale, że moment ich widzialnego zwycięstwa przyjdzie nierychło, owszem odsuwają go na czas odległy, zdobywając się na cierpliwośc, wytrwałość i wiarę w siebie, jak to uczyniły wszystkie poważne stronnictwa pracujące dla przyszłości. Przeznaczeniem ich i posłannictwem w na-

rodzie jest i pozostać winna działalność ideowa, nie zaś „mandatowa” i „kompromisowa”.

Niedawne doświadczenia z okresu „Koncentracji narodowej” wymownie świadczą jak zgubną i demoralizującą są rzeczą wszelkie sojusze i pakty, zawierane przez odłamy postępowe z obozem konserwatywnym, celem osiągnięcia chwilowych dla postępu korzyści. Grupa p. H. Konica podczas wyborów do wtórej Izby, abdykując z szeregu postulatów postępu i demokratyzmu, poczyniła poważne ustępstwa ideowe Endecji. Wzamian za to p. Konic, dzięki intrydze i agitacji najwsteczniejszych sprężyn klerykalizmu, wybrany został na posła. Ufał on w świetność swego talentu i miał nadzieję błyskawicami wymowy z trybuny parlamentarnej powetować ustępstwa polityki wyborczej, kraj okryć chwałą i ogromem zdobyczy prawodawczych dla Królestwa wybór swój usprawiedliwić. Lecz jakże srogo się zawiódł! Skrępowany nakazem solidarności poselskiej w obrębie „Koła polskiego”, wyzuty z prawa inicjatywy lub protestu wobec większości kolegów, rychło zeszedł do roli posłusznego pionka w ambitnym ręku Dmowskiego, a w końcu przez tegoż złośliwie pchnięty na trybunę w pamiętnej dyskusji nad „uchwalaniem rekruta” w oczach narodu całego odegrał na arenie polityki jedną z najmniej sympatycznych ról poselskich. W chwili obecnej taż sama grupa ludzi, ogniskująca się dokoła postaci b. posła pod znakiem polskiej partji postępowej (!) upadła do poziomu najwstrętniejszej demagogji, czyniąc z wydawanego przez się organu *Przełom* wężowisko kalumnij i potwarczych kłamstw, miotanych przeciwko nam, postępowcom, z pasją przerastającą o wiele ataki endecko - klerykalne. Miarą upadku etycznego oraz kulturalnego tych ludzi jest skwapliwe a gorące i życzliwe powitanie, jakie zgotowało im ugodowe *Słowo* i *Kurjer Warszawski*. Zbyteczną byłoby rzeczą rozprawiać się po kolei z szeregiem niedorzecznych i bałamutnych brodni, spiętrzonych wokół naszego sztandaru a mających go zgnieść i pogrzebać.

Zatrzymajmy się tylko na jednym zarzucie, tym, który oskarża nas o „walkę z Macierzą” a więc o tłumienie oświaty. Czy podobna zdobyć się na potworniejsze kłamstwo? Żywiołom postępowym, które wyłoniły z siebie szereg instytucji oświatowych, które najwyższym wysiłkiem pracy i ofiary osobistej powołały do życia „Tow. Kultury Polskiej”, „Uniwersytet dla wszystkich”, „Światło” w Lublinie, — zarzuca się tłumienie ognisk umysłowych. „Macierzy” swego czasu nie zwalczaliśmy bynajmniej, przeciwnie o jej byt zatrwożeni, usiłowaliśmy sprostować błędy jej kierunku, który niebezpiecznie jął wypaczać się w stronę szowinizmu nacjonalistycznego i ciasnej parafjańszczyzny. Myż to zwalczamy oświatę? my, którzy jeszcze w pozaprzeszłym N-rze *Prawdy* orzekliśmy: „Ktokolwiek w kraju liczacym 80% analfabetów niszczy szkołę — jest zbrodniarzem!?” Z tak bezecną kalumnią nie spotykaliśmy się dotychczas. Nie dosięże ona naszego posterunku, ale spadnie z powrotem na szpalty, z których bryznęła.

Następnie zabrał głos p. Emil Waydel, piętnując wystąpienie *Przełomu*, jako nikczemne i obarczające hańbą zarówno autora artykułu („Na przełomie”) p. Rosseta, jak samą redakcję rzeczonego czasopisma. Co do zarzutów, skierowanych w tym piśmie przeciw postępowi z powodu stosunku jego do „roboty ludowej” w Poznańskim, którą „postępowcy Warszawscy” rzekomo dlatego tylko mają zwalczać, że robota ta w ręku duchowieństwa się znajduje, to zarzuty te znamionują bezwzględną nieznajomość ze strony autora stosunków gospodarczych na ziemi Poznańskiej. Ks. Wawrzyniaka nie mogliśmy uwielbiać nie dlatego, że nosił sutannę, ale dlatego, że zająwszy wybitne stanowisko, przewagi swej używał nie dla budzenia samoistności i samostarczalności ludowej, lecz dla utrzymania supremacji kleru. Ks. Wawrzyniak był genjuszem pracy organizacyjnej: temu nikt z postępowców nie zaprzecza. Lecz chwyciwszy w silne ręce ster stworzonych przez siebie organizacji z dumą i wyłącznością autokraty odsuwał on od współudziału w rządach wszelkie żywioły ludowe, tamując doszczętnie rozwój ruchu demokratycznego. Hasłem ks. Wawrzyniaka, które prelegent z ust jego własnych miał sposobność słyszeć, było przekonanie, że „lud nasz nie dorósł jeszcze do tego, aby mógł sam sobą rządzić!” Jest to hasło wsteczne, którego szkodliwości z naszego stanowiska nie ma potrzeby dowodzić. Kooperatywy, spółki ekonomiczne i organizacje, powstające na podłożu świeckim, bez opieki klerykalnej, były w oczach Wawrzyniaka najgroźniejszym niebezpieczeństwem narodu. Wszelki przejaw samodzielności ludowej gotów był poczytywać za zbrodnię, wzywającą niemal o pomstę... Postęp, oceniając wielkie zasługi organizatorskie tego człowieka, w imię słuszności nie mógł przemilczeć równie poważnych w jego charakterze braków natury społecznej i obywatelskiej.

Na końcu przemawiali pp. Wasercug i Zubowicz i inni. Pierwszy zaznaczył, że postęp, aby móc walczyć skutecznie z siłami wstecznictwa, winien strzec sie dezorganizacji wewnętrznej, która grozi mu nietyle ze strony 3-ch P., które prelegent wykłada jako: „Partja Popularnej Paplaniny”, ile ze strony antysemityzmu postępowego. Grupę p. Konica wraz z *Przełomem* zabije bez wątpienia śmieszność. Natomiast „antysemityzm postępowy” jest ruchem rozkładowym. Stronnictwo winno energicznie przeciwko jego działaniom rozkładowym wystąpić w swym organie. P. Zubowicz wreszcie, w ostatnim przemówieniu stwierdził, że idea stronnictw postępowych polega na przodownictwie w ruchu społecznym, na wybieganiu ku dniom jutrzejszym, nigdy przeto popularną być nie może śród mas szerokich, które interes wiąże ze stanem, panującym obecnie, a umiłowanie tradycji ciągnie ku przeszłości.

NA DOBIE.

Wyręczone zbawstwo.

Przebieg wyborów lwowskich, zakończonych, jak należało przewidywać, tryumfem dulszczyzny, skłonił *Gazetę Warszawską* do rozmyślań na temat ogromu własnej zasługi, położonej na polu walki „z żywiołami niepolskimi” w kraju i za kordonem. Organ t. zw. demokracji narodowej korzysta ze sposobności, by ogół warszawskich stronników nastroić na ton odpowiedni, budząc w nich naprzemian trwogę jakąś straszliwą koalicją wrogich potęg i chlubne poczucie własnej wartości „zbawców” ojczyzny tanim bardzo kosztem. Dowiadujemy się tedy, że nigdzie na ziemiach polskich niema i nie może być zwykłej różnicy przekonań i prądów polityczno społecznych, bowiem wisi nad krajem „*periculum in mora*”, a dłońmi publicystów endeckich kieruje duch zbawczego natchnienia: „chodziło bowiem o polskość stołecznego miasta, o to, kto we Lwowie będzie gospodarzem — Polacy czy żywioły niepolskie.”

„Budzić się też muszą — dodaję *Gazeta* — refleksje na temat spraw związanych z samorządem miejskim w miastach Królestwa Polskiego. Wszędzie mamy do czynienia z tym samym objawem—z dążeniem żywiołów niepolskich i będącego z nimi w sojuszu odłamu polskiego do opanowania ciał, reprezentujących kraj z jednej strony, a z konsolidacją żywiołów narodowych z drugiej strony.”

Ponieważ „refleksje" te najwyraźniej zdradzają zamiary kół „reprezentujących kraj z jednej strony", według słusznej acz mimowolnej formuły endeckiej, nie od rzeczy będzie poczynić też pewne uzupełnienia „z drugiej strony."

Wolno bowiem *Gazecie* węszyć niechybny sojusz „żywiołów niepolskich" z odłamem postępowym przy wyborach do gmin miejskich Królestwa; wolno również z dokładną wprawą szykować się do „wybawienia", raz jeszcze, kraju z tak srogiej opresji; musimy jednak zauważyć, że *Gazeta* niepotrzebnie się natęża: ktoś inny dawno ją wyręczył, ktoś inny pomyślał już o stosownym ustroju kurjalnym, który usuwa cień nawet niebezpieczeństwa ze strony „żywiołów niepolskich", ktoś inny, jednym słowem, zbawił ojczyznę nie gorzej, a nawet lepiej od „Demokracji Narodowej".

Tym wymarzonym zbawcą jest *ministerjum spraw wewnętrznych.* Nie wchodząc w intymne jego pobudki tudzież skład osobisty, ujawniający chyba 100 proc. żywiołów niepolskich — pozwalamy sobie mniemać, że w tym stanie rzeczy zbawczy rozpęd *Gazety Warszawskiej* funkcjonuje w zupełnej... próżni, a jeśli publicyści zacnego organu prawią mimo to w kółko o „niebezpieczeństwie" i „ratunku" — wina to nabytych w ciągu długiego żywota przyzwyczajeń.

Historja się powtarza.

W pierwszym wieku naszej ery, kiedy Pompejusz, wracając z Judei i Syrji, zawlókł ze sobą do Rzymu tysiączny zastęp jeńców, puszczonych potym samopas po wiecznym mieście — powstała na prawym brzegu Tybru dzielnica błotnista i nędzna, zwana *Ripa*, gdzie rodowity Rzymianin nigdy nie postawił stopy. Tam, w tym cuchnącym *ghetto*, w sieci wązkich uliczek i ruder zapadłych, wśród rzemieślników żydowskich i tragarzy syryjskich, narodziła się „dobra nowina", której było sądzone rozsadzić olbrzymie rzymskie imperjum...

Już wówczas niejeden trybun grzmiał na Forum przeciw Chrystusowi i jego współplemieńcom, obwołując ich „wrogami ludzkości, zbrodniarzami, którzy wykraczają przeciw wszystkim zasadom prawa rzymskiego, uznanego za obowiązujące dla wszystkich narodów."

Niejeden senator ze swego krzesła kurulnego głosił potrzebę środków bardzo energicznych wobec rosnącego znaczenia „sekciarzy" semickich. Wreszcie cesarz Klaudjusz, jak twierdzi Swetoniusz — „wypędził z Rzymu Żydów, którzy wszczynali niepokoje i zamieszki pod przewodem Chrystusa"...

Tysiąc osiemset lat minęło od tego czasu. I oto historja się powtarza. *Ghetto* z nad Tybru przeniosło się do Warszawy i Wilna, a w Izbie państwowej rozlega się głos Markowa II:

„Wiecie panowie jaki jest mój pogląd na rasę żydowską. Uważam ich za wrogów ludzkości oraz przestępców, ponieważ wykraczają oni przeciw wszystkim zasadom prawa chrześcijańskiego, uznanego za obowiązujące dla wszystkich narodów"...

„Poprzedni mówca twierdził, że antysemici mogą prowadzić z żydami walkę indywidualną i społeczną. Panowie, muszę was ostrzedz przed takim zapatrywaniem. Naród rosyjski tymczasem nie jest w stanie walczyć z żydami. Potęga żydów jest olbrzymia, nieludzka. Z tą potęgą, której boję się nadzwyczaj, może walczyć tylko państwo i to z wielkim trudem..."

Tak mówił Tigellinus XX-go stulecia, zwany Markowem II-im. Tych słów, wypowiedzianych tonem szczerego przekonania, nie można zbyć łatwą ironią. Brzmi w nich odgłos dramatu dziejowego któremu na imię: żydowstwo. Ale tu trzeba zauważyć, że egzaltacja żydożerców typu Markowa II-go, zamiast prowadzić do likwidacji tege dramatu, wysnuwa dalsze jego akty i składa się w przyszłości na epilog bardzo dla żydów zaszczytny.

Jeśli bo Markow II ma w sobie duszę pogańskiego Rzymu, to przesądna trwoga, z jaką mówi o 4 miljonach parjasów, pozwala przypuszczać wśród nich obecność jakiejś niesamowitej potęgi, ducha nowego mesjanizmu zdolnego ruszyć ponownie z posad bryłę świata; lecz w takim razie powinien p. Markow II pojmować, że przeciw „nieludzkiej sile" prawa wyjątkowe są kruchą i zawodną bronią, która nie zmieni cyklu mistycznych przeznaczeń... I tu znów trzeba zauważyć, że wrzask bojowy takich antysemitów, jak Markow II, w nadmiernym natężeniu, staje się hymnem na cześć urojonej potęgi żydowstwa.

Panama tramwajowa.

Część rekryminacji tyczących gospodarki tramwajowej w Warszawie, została już ujawniona w czasie pamiętnego strajku w r. z.; nierównie jednak ważniejsze, niechlubne dla zarządu, zarzuty kursowały z ust do ust w kształcie pogłosek, którym wielu nie dawało wiary... Trzeba było dopiero rewizji sen. Neudhardt'a, aby sprawa panamy tramwajowej wypłynęła na szpalty... *Nowego Wremieni.* Stąd dopiero mieszkańcy naszego miasta dowiedzieli się o szczegółach przedsiębiorstwa, o których prasa miejscowa milczała z jednomyślnością, godną najwyższego podziwu.

Tak jest! w miarę jak wyjaśniały się mroki tajemnic tramwajowych, podziw nasz wzrastał. Podziw dla czcigodnej, niepokalanej, patrjotycznej i heroicznej naszej prasy. Jeżeli p. Spokorny, dobrawszy do pomocy trzy umitrowane głowy, dokazał cudów pomysłowości, zgarniając miljonowe zyski z przedsiębiorstwa, w które owo słynne konsorcjum nie włożyło ani grosza — to ze swej strony redakcje wielkich organów warszawskich znalazły się na szczytach wzniosłego... milczenia. Musiało ono być dla nich... złotem.

I dziś, jeśli z tych szczytów schodzą pomału, ostrożnie, z wyraźnym ociąganiem — dzieje się to, należy raz jeszcze podkreślić, za sprawą *Nowego Wremieni*, gdzie w Nr. 12550 rozkłada się na kilku szpaltach, w całym bezwstydzie, szkaradna nasza panama.

P. Spokorny, stojący na czele konsorcjum, był zarazem ajentem firmy berlińskiej *Siemens i Halske*, a ponieważ „znał chody ",przeto, mimo uciążliwych warunków, tej właśnie firmie powierzono budowę tramwajów. I oto — czytamy w referacie sen. Nendhardt'a —:

„Podczas budowy tramwaju elektrycznego firma berlińska korzystała z ulg niezwykłych: wypłacono jej 1,200,000 rb. tytułem zadatku oraz pozwolono na zagwarantowanie tej sumy biletem banku niemieckiego. Firmie tej budowę tramwajów powierzono, choć komitet techniczno-budowlany ministerjum spraw wewnętrznych uznał projekt firmy Siemensa za gorszy od innych.

Na wypłaceniu tak wysokiego zadatku miasto straciło około 160 tysięcy rubli, nie licząc tego, iż odsetki od biletu gwarancyjnego, równe 200,000 rb., przeniosły się do Niemiec.

Wreszcie dodać do tego należy wysoką opłatę za przejazd (kop. 7 i 5 w klasie I i II za 4 kilometry jazdy), sporność wielu punktów kontraktu, zawsze rozstrzyganych na niekorzyść miasta, niemożność ze strony miasta zmuszenia zarządu tramwajów do wykonania obowiązków inaczej, jak na drodze sądowej, wreszcie darowanie przedsiębiorcom 10,000,000 rubli — oto są zyski miasta wedle obliczenia rewizji".

Istnieją wszelkie poszlaki, że za tymi rewelacjami pójdą inne.. Trzeba się zgóry przygotować na jaskrawe sensacje. Trudno się zresztą dziwić p. Spokornemu, że użył i nadużył położenia, znając różne

„chody", trudno się dziwić pp. urzędnikom, że wprawnie zgarniali kubany, ani dbając o to, że miasto traci 10 miljonów — wślad za miljonami, które już straciło w podobnych okazjach, — ale trudno się nie dziwić prasie warszawskiej, która wzamian za bilety wolnej jazdy, hojnie rozdawane, oraz różne dyskretne usługi, zamykała oczy, nos i usta na wyziewy tego grzęzawiska cynizmu i wyzysku, jakim jest warszawskie konsorcjum tramwajowe.

Tytuły papieskie.

Wspominaliśmy poprzednio, że Ignacy Karol hr. Korwin Milewski, obecnie kamrat Markowów i Puryszkiewiczów, jest papieskim hrabią, tytuł swój bowiem nabył w Rzymie, z pieczęcią Piusa IX-go; ze swej strony hrabina Korwin-Milewska, *primo voto* hr. Władysławowa Umiastowska, poszczycić się może podobnym pergaminem jeszcze świeższej daty, z podpisem Leona XIII-go...

Papieskie tytuły nie są bynajmniej rzadkością ani w Polsce, ani zagranicą. Ostatnimi zwłaszcza czasy rozwinął się żywy handel tytułami w biurach watykańskich, o czym wspominają wszyscy historycy Kościoła. W jednej z monografji, poświęconych dzisiejszemu papiestwu, mieści się treściwy spis osób, obdarzonych rzymskimi tytułami, wraz z odpowiednim cennikiem tych ostatnich.

Okazuje się, że tytuł książęcy można nabyć w Rzymie, za pośrednictwem swego biskupa, za *sto tysięcy* franków.

Tytuł hrabiowski, cieszący się bardzo znacznym popytem — zwłaszcza na Litwie — kosztuje bagatelkę: *dwadzieścia tysięcy*. Za barona trzeba uiścić skromną kwotę 12 tysięcy franków, przyczym, oczywiście, nie wchodzą w rachubę pomniejsze kubany, bez których nawet pierwszorzędny święty nie doczeka się w Rzymie kanonizacji.

Przebiegając oczyma listę osób, zaszczyconych rzymskimi tytułami, łatwo zauważyć można, że ten almanach gotajski zakrawa na księgę handlu i przemysłu, tyle jest tu firm, nawet semickich, żądnych ozdobić swoje marki fabryczne mitrą lub koroną.

Rzekome ciężkie warunki, w jakich znajduje się Watykan, wpływają widać korzystnie na rozwój pomienionego przemysłu: niejeden kardynał, zamiast nagród pieniężnych, dostaje z rąk papieskich zwój pergaminów *in blanco*, opatrzonych w stosowne pieczęcie; eminencji pozostaje tylko wpisać właściwy tytuł i nazwisko, postawić datę i pobrać należne honorarjum.

Rekord wszechświatowy.

Zdobyła go Warszawa. Świeżo ogłoszony budżet miejski, który się określa sumą ogólną 10,517,059 rb., przeznacza na cele oświaty 539,989 rb., czyli 5%, wyraźnie dwudziestą część ogólnej sumy wydatków.

Studja porównawcze, w tej mierze przez nas przedsiębrane, wykazują niezbicie, że Warszawa zdobyła rekord wszechświatowy w sztuce obywania się bez szkół; podobno istnieje projekt nazwania naszego miasta *Ciemnogrodem*, co ma wszelkie szanse powodzenia.

Z za kulis Watykanu. (II)

Akademja jest w pełnym komplecie. Dostojne grono „nieśmiertelnych" liczy okrągłe 40 głów, jak to przepisał w swoim czasie kardynał Richelieu.

Pisma przytoczyły niedawno imiona wybrańców: są tam nazwiska, słynne na świat cały, są i takie, które wielu słyszy po raz pierwszy.

Biskup Duchesne, następca kardynała Mathieu, należy do rzędu mniej znanych akademików, jakkolwiek w świecie duchownym złowrogą cieszy się sławą, jako jeden z pierwszych wybitnych *modernistów*, autor wielotomowej *Historji Kościoła*, zaszczyconej pochlebną wzmianką... w Indeksie ksiąg zakazanych.

Zresztą był *monsignor* Duchesne profesorem w *Ecole de hautes Etudes* w Sorbonie, potym kierownikiem Instytutu katolickiego w Paryżu, wreszcie dyrektorem t. zw. *Ecole Française* w Rzymie, w pałacu Farnese.

Ze szczytów hierarchji watykańskiej dokładny miał widok na dzisiejszy stan papiestwa; głębie cennych archiwów, których tajniki badał pospołu z kardynałem Rampollą, rzekły mu niejedno na temat przeszłości; w powitalnej swej mowie u „nieśmiertelnych" biskup Duchesne z właściwą sobie wykwintną i rafinowaną finezją roztoczył bardzo krytyczny pogląd na dwór papieski, budząc niekłamane zgorszenie wśród arystokratycznej części audytorjum.

„*Le moins crédule des croyants*" nazwał go w odpowiedzi akademik Etienne Lamy, co wywołało uśmiech zadowolenia na wolterjańskiej twarzy prałata.

Bezpieczny od gromów papieskich tu, nad brzegiem Sekwany, pod kopułą dostojnego pałacu, *monsignor* Duchesne zwierza się jednemu z kolegów ze swych wrażeń rzymskich, z czasów niezapomnianego kongresu międzynarodowego Wolnej Myśli w r. 1905.

— Ah, ten wasz kongres! Ani przypuszczaliście zapewne, jakie on wywoła efekty. Papież przez cały miesiąc żył w ustawicznym strachu. Ten biedny proboszcz wenecki nie miał najmniejszego pojęcia o znaczeniu imion takich, jak Berthelot, Haeckel, Sergi. Wmówiono weń, że wolni myśliciele — to anarchiści, apasze i bombiści.

Nakazał tedy najsurowsze środki ostrożności. Hr. Pecci odbył nawet rewizję gwardji papieskiej, zbrojnej w odwieczne halabardy. Raport hrabiego nie uśmierzył obaw Jego Swiętobliwości, który też uzyskał od króla — za pośrednictwem królowej-matki, znanej dewotki — oddział bersalierów, dyskretnie ukryty w pobliżu, koło papieskiej stacji telegraficznej...

Wewnątrz zabudowań watykańskich spiętrzono mnogie zapasy mąki i mięsiwa, jak w przeddzień długiego oblężenia... Z biur kongregacji Propagandy Wiary, nazbyt wystawionej na niebezpieczny atak przy placu Hiszpanji — ciężkie furgony przewiozły do Watykanu kufry i skrzynie pełne walorów, srebra i złota, na sumę wielu miljonów. Umieszczono to wszystko w prywatnych apartamentach papieża, w żelaznych skrytkach, dyskretnie wpuszczonych w mury według planów Leona XIII-go. Tak jest — oczekiwano waszego najścia z kindżałami i dynamitem. Wyście poprzestali na mowach i referatach. Watykan wysłał swych ajentów tajnych na kongres: byli oni bardzo zdziwieni. Obecnie — kończył biskup Duchesne — Ojciec Swięty przeciwstawi wam tylko modły, co nie jest bardzo niebezpieczne."

Wbrew miarodajnemu zdaniu *monsignora* można przypuszczać, że sceny podobne jeszcze raz się powtórzą w roku bieżącym. Bo oto — powiada *Dziennik Powszechny* — „uroczystości rzymskie, tak jawnie ubliżające Ojcu św. i Kościołowi, ściągną do Rzymu setki tysięcy masonów, którzy postanowili zwołać z tej okazji na wrzesień 1911 r. wielki międzynarodowy kongres masoński; na kongresie tym ma być omówiona kwestja intensywniejszej i zaciętszej walki z Kościołem, a *nawet zamachu na osobę Ojca św.*, o czym również otwarcie głoszą dzienniki masońskie". (podkr. nasze.) — „Widzimy więc — kończy *Dziennik* — że *Ojcu św. grozi wielkie niebezpieczeństwo*, gdyż wrogowie jego są silni i nieprzebłagani..."

Ze wszystkiego, co wyżej powiedziano, widzimy zupełnie co innego: widzimy, że wpływowym na Watykanie sferom zależy na tym, aby papież trwał

w mniemaniu, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo. Nie mamy najmniejszej potrzeby rozpraszać bredni, które wślad za innymi pismami zakrystji powtarza warszawski *Dziennik Powszechny*, by rozjątrzyć ciemne tłumy bigotów przeciw postępowi i myśli wolnej. Ludzie światli i krytyczni wiedzą, co o tym sądzić, a na dno przesądnej ignorancji, zkąd rekrutują się czytelnicy *Dziennika*, nasze słowa nie dotrą.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Kultura Polska* (Nr. 3) w słowach dobitnych i miażdżących ujawnia i potępia metody walki, stosowane przez „kler przeciw szkołom polskich". Godny pogardy wszystkich światłych ludzi i szczerych Polaków „ten wynaturzony, okrutny, chciwy władzy i dostatków, samolubstwem i nienawiścią przeniknięty, wielki przeżytek kultury" był zarazem „nieszczęściem naszego narodu, był jego wiekową i nieuleczalną chorobą, wyniszczył go, oglupił, zdemoralizował i doprowadził do zupełnej niemocy tak samo, jak zgubił wszystkie państwa i społeczeństwa europejskie, którymi owładnął". I nie dość mu tego, że panuje nad nami od kolebki do grobu, że nas uprawnia jako uczestników społeczeństwa, że nas łączy i rozdziela w najważniejszych związkach, że kontroluje w życiu i rozporządza nami po śmierci, jeszcze usiłuje zdusić naszą oświatę... Istotnie:

Według ustawy, szkoły ogólno-kształcące obowiązane są w swych programach mieć wykład religji. Otóż kler postanowił wyzyskać ten przymus dla zamknięcia wszystkich szkół polskich, które nie chcą poddać się jego tyranji. Nie ma on odwagi i mocy odmówić swych usług rządowym, więc ograniczył swój zamach do prywatnych, którym daje do wyboru albo bezwzględną uległość, albo nieuzyskanie prefekta. Większość ich z własnej lub przymuszonej woli zgodziła się na pierwszą konieczność; kilka stawiło opór. Rozpoczęła się cicha, wstrętna i gorsząca, pełna obłudy i wykrętów komedja pozwalania księżom na dawanie lekcji w nieprawomyślnych szkołach jawnie, a zakazywania im tajemnie. Całymi miesiącami ciągnęły się zabiegi z jednej strony a kłamstwa z drugiej, co pewien czas mianowano prefektów, którzy widocznie mieli polecenie wywoływania zatargów z najbłahszego powodu. Nikt ich nie drażnił, nie ograniczał, nie przeszkadzał nawet w lżeniu przed uczniami osób i rzeczy, które młodzież szanuje — wszystko to nic nie pomogło. Po pewnym czasie ksiądz znikał, a gdy nakłaniano go do powrotu, stawiał warunki niemożliwe do przyjęcia: zmiany dyrektora, nauczycieli i rozkładu lekcji, usunięcia z bibljoteki pewnych książek i czasopism i t. p. Cała ta polityka stwierdza dwa fakty, które należy zapamiętać: naprzód, że kler nasz wtedy tylko oddaje usługi religijne, kiedy wzamian za nie otrzymuje władzę i powtóre, że on idzie dalej, niż wszystkie inne czynniki nieprzyjazne rozwojowi oświaty narodowej u nas i sam jeden dąży do zamykania szkół polskich. To staranie winno być policzone i zapisane w dziejach jego chwały. Może nigdy nie okazał dowodniej, jak daleko odsunął się od swych pierwotnych mistrzów, którzy nieśli swoją naukę do pogan, nieodstraszeni największymi przeciwnościami i najokrutniejszym męczeństwem; jak mało waży sobie religję a jak wiele władzę, jak szczerze nienawidzi oświaty narodowej, która nie służy jego interesom. Najprzykrzejsza świadomość jest jednak korzyścią, bo uwalnia od złudzeń i rozjaśnia rzeczywistość. Jawny i ukryty atak księży na szkoły polskie w Kruszynku, Gołotczyźnie, Warszawie, Suwałkach i innych punktach zniszczył zupełnie legendę o naszych poczciwych, wyrozumiałych, patryotycznych kapłanach, którzy może gdzie wyjątkowo tają się przed argusowym wzrokiem swej zwierzchności: na widowni pozostali kosmopolityczni jezuici i bojowcy, którym krzyż służy tylko za rękojeść do miecza lub sztyletu.

* Polska Myśl Wolna spotyka na skrajnej lewicy jawną niechęć, która nas nie dziwi, lub swego rodzaju sympatję, która nam bynajmniej nie ułatwia zadania. Oto np. *Nowe Życie* (Nr. 22) tymi słowy komentuje zajścia krakowskie:

Większość prasy burżuazyjnej stanęła po stronie reakcji katolickiej; w walce z ideologją klasy robotniczej uciekła ona sromotnie pod skrzydła klerykalizmu; nadużywając bezprawnie hasła interesów narodowych uciekła się ona do pomocy polskiej i niemieckiej reakcji przeciwko postępowi polskiemu. Jej zachowanie się dowiodło, że nasze żywioły burżuazyjne nie zdradzają zdolności nawet do konsekwentnej obrony swych własnych interesów, a tymbardziej interesów postępu, interesów kultury narodowej. Natomiast, odtąd jeszcze bardziej widocznym się stało, że postęp polski, że kultura polska jedynie w osobie demokracji robotniczej mogą znaleźć swego obrońcę.

Byłoby stokroć lepiej i dla kultury polskiej i zwłaszcza dla proletarjatu, gdyby pp. ze skrajnej lewicy nie czynili zeń *mecenasa postępu*, bo na to go nie stać ani dziś ani w przyszłości, lecz *klijenta* współczesnej *kultury*, która, niestety, rzadko przenika w szeregi czwartego stanu.

* *Nowa Gazeta* w sprawozdaniu z ostatniego wieczora dyskusyjnego w P. Z. P. pomieściła następujący ustęp:

Nawiązując rzecz do referatu p. Łypacewicza, p. Wasercug stawia jako przykład odstępowania od haseł postępowych, prócz wspomnianej już grupy P. P. P. i drugą nowo utworzoną grupę—t. zw. postępowego antysemityzmu.

P. Wasercug żąda, aby w myśl wyłuszczonej na początku zebrania wczorajszego deklaracji członka Rady polskiego Zjedn. postępowego, p. Łypacewicza, organ tego stronnictwa, „Prawda", określił jasno swe stanowisko, względem tej drugiej grupy, która dla taniej popularności wystąpiła przeciw jednemu z zasadniczych postulatów postępu polskiego.

Wniosek p. Wasercuga przyjęty został milczeniem.

Sprawozdanie *Nowej Gazety* grzeszy wyraźnym brakiem ścisłości. Na zebraniach dyskusyjnych P. Z. P. niema zwyczaju stawiania lub uchwalania wniosków, odbywa się jedynie wymiana zdań. O ile wiemy t. zw. postępowy antysemityzm nie stanowi żadnej grupy, co się zaś tyczy wystąpień p. Niemojewskiego i p. Moszczeńskiej, to wszystkim wiadomo, że redaktor *Myśli Niepodległej* nigdy członkiem P. Z. P. nie był, a p. Moszczeńska wystąpiła ze Zjednoczenia wskutek różnicy zdań w tej właśnie kwestji.

* Kryzys ministerjalny we Francji wywołał w naszej prasie sporo komentarzy zupełnie dowolnych, przyczym zauważyć można, że pisma klerykalne przybrały śpieszną acz spóźnioną żałobę po francuskim mężu stanu, który w ich oczach, jako autor prawa separacji Kościoła i Państwa, był nieomal wyrzutkiem człowieczeństwa, godnym najsroższych potępień.

Goniec i *Gazeta Warszawska*, jak zwykle, różnią się biegunowo w ocenie kryzysu francuskiego. Pierwszy dostrzega w nim przedewszystkiem „Powrót Delcassé'go", głównemu zaś organowi endecji ukazał się na horyzoncie zachodnim „Combes *redivivus*", przejmując publicystów *Gazety* pobożnym dreszczem przerażenia. P. T. G. w *Gońcu*, puszczając wodze fantazjom wojennym, takie snuje horoskopy, niepozbawione zgoła optymistycznego pesymizmu:

Delcassé stał się czemś w rodzaju współczesnego Gambetty — przedstawicielem odwetu, jeżeli nie na placu boju, to na terenie walki politycznej. Po jego upadku Francja starała się nie dawać powodu Niemcom do agresywnych wystąpień. Dużo mówiono i pisano o potrójnym po-

rozumieniu, ale o żadnym wspólnym czynie z jego strony nie było dotąd mowy. Polityka francuska zachowywała się względem Niemiec bardzo powściągliwie, unikała z nimi starć i nawet podczas zatargu bałkańskiego niczem nie zdradziła swych antyniemieckich intencji.

Odpowiedzialni politycy niemieccy w przemówieniach swych nieraz dawali do zrozumienia, że kontynuowanie polityki Delcassego (t. j. izolowania Niemiec) doprowadzi do wojny. Książę Buelow powiedział w parlamencie, że wszelka tego rodzaju polityka zagraża pokojowi europejskiemu, gdyż musi wywołać ze strony niemieckiej przeciwdziałanie, to zaś wyraża się w „nacisku", którego skutków obliczyć niepodobna. Biorąc pod uwagę, że obecny sekr. stanu, Kiderlen-Wächter okazuje większą jeszcze skłonność do „nacisku", niż były kanclerz, łatwo zrozumieć, iż powrót Delcassego do władzy staje się ważnym faktem politycznym. Znaczenie jego tym więcej wzrasta, że na widnokręgu politycznym nie brak ciemnych chmur i nawet w publicznych oświadczeniach mężów stanu wyraźnie brzmi nuta pesymistyczna.

Gazeta Warszawska waży rozmiary spustoszeń, dokonanych przez „fanatycznych wolnomyślicieli" w nieszczęśliwej ojczyźnie fars i operetek:

Briand rozumiał, że o przeprowadzeniu swych projektów prawodawczych nie może myśleć, że cały czas należy poświęcić na walkę z intrygami i wolał ustąpić. Sądził, że ster władzy obejmie ktoś, co zdoła poprowadzić politykę w myśl jego programu, a nie będzie miał tylu, jak on, nieprzyjaciół. Tymczasem do władzy doszła powtórnie grupa Combesa, sekta najfanatyczniejszych „wolnomyślicieli", dezorganizatorów życia publicznego z Berteaux, Cruppim, Delcassem na czele. Nie posiada ona popularności w kraju, ale dzięki zdolnościom intryganckim i taktycznym, demagogji i teroryzmowi ma wpływ poważny w kuluarach Izby. Będzie ona usiłowała — o ile żywot gabinetu będzie dłuższy — wzmocnić zachwianą swą pozycję w społeczeństwie, a jak świadczy mianowanie podsekretarzem do spraw wyznań Malvy'ego, rozpocznie zapewne prześladowanie kościoła katolickiego, ażeby na tej sprawie skupić uwagę Izby i kraju.

Zagadkowym i zgoła nielogicznym jest stanowisko skrajnej lewicy francuskiej względem nowego rządu, który kładąc znaczny nacisk na środki obrony narodowej, bynajmniej nie sprzyja idejom kosmopolitycznym i antywojskowym. Zwraca na to słuszną uwagę *Kurjer Poranny*, powiadając:

Ustąpienie Pichona jest wycofaniem się gorącego zwolennika pokoju i symptomem istotnie niepokojącym z punktu widzenia położenia międzynarodowego. W program nowego rządu w zakresie polityki zewnętrznej wejdzie prawdopodobnie otwarty sojusz wojskowy z Anglją.

Skrajna lewica uspokojona będzie zapewne tym, że razem z upadkiem Brianda upadną także i wniesione przez niego projekty do ustaw, zwrócone przeciw rewolucyjnemu socjalizmowi, a mianowicie projekt ustawy przeciwko sabotażowi, projekt ustawy o bezpieczeństwie ruchu na kolejach żelaznych i projekt ustawy, zakazujący robotnikom kolejowym zrzeszania się w syndykat, cały jednym słowem program ustawodawczy zabezpieczenia porządku społecznego, ułożony przez Brianda bezpośrednio po strajku kolejowym. Jakim sposobem Monis pogodzi ostrzejszy akcent w polityce zewnętrznej z ustępstwami dla ruchu, który Briand w słynnej swojej mowie w Saint Chaumond z 11 kwietnia z. r. uznał jako antypatryjotyczny, oparty na propagandzie najbardziej nielogicznej, najbardziej sprzecznej, najbardziej niedorzecznej, jaką sobie można wyobrazić, to pytanie będzie najcięższym problemem zadań nowego rządu. Nie można jednak wątpić, że patryjotyzm w świecie robotniczym francuskim weźmie górę nad martwą, ślepą i bezduszną doktryną.

KRONIKA.

BIBLIOTEKA PRZYSZŁOŚCI. Oddawna już uskarżają się dyrektorowie bibliotek publicznych, że wobec wzmagającej się produkcji książkowej, coraz trudniej dawać sobie radę z miejscem, jakiego olbrzymie księgozbiory wymagają. Wszystkie, najobszerniejsze nawet biblioteki po pewnym czasie okazują się za małe. I dlatego coraz częściej pojawiają się ze strony bibliotekarzy projekty, by archiwa i księgozbiory uszczuplać i nie cofać się przed niszczeniem mniej ważnych dokumentów oraz wyłączeniem z bibliotek książek nie posiadających istotnych kwalifikacji naukowych. System ten, dyktowany koniecznością posiada jednak strony ujemne. Nawet najbardziej sucha kompilacja książkowa może badaczowi oddać znaczne usługi. Dla historyka i prawnika, nawet najmniej na pozór znaczące akty archiwalne mogą się okazać bardzo potrzebne.

Dwóch uczonych belgijskich, bibliograf i przyrodnik podjęli wspólną akcję w Brukseli, by urządzenie bibliotek wprowadzić na inne tory, wynaleźć nowe, praktyczne metody, które pozwoliłyby na zachowanie całego bogactwa już istniejących i przybywających dokumentów naukowych i literackich, bez nadmiernego rozszerzenia budynków bibliotecznych. Inżynier belgijski, Goldschmidt i sekretarz generalny między-narodowego brukselskiego instytutu bibliograficznego, Otelet, powzięli myśl stworzenia biblioteki mikroskopowej.

Pragną oni książkę, względnie akt archiwalny, zastąpić fotografiją. Kto będzie chciał czytać książkę lub akt, ten włoży diapozytywy do latarni magicznej i rzuci obraz świetlny na ekran przechodząc w taki sposób stronę po stronie, może czytelnik dowolną książkę — „studjować". System ten na pierwszy rzut oka wydaje się nieprawdopodobny. W Belgji i Anglji zdołano go jednak już obecnie udoskonalić i treść 72 stron druku zatrzymać na zwykłej płycie fotograficznej, wielkości 9×12 centymetrów. Czyli, że nawet książkę o tysiącu stron, nawet encyklopedję o 100,000 stron można przenieść na stosunkowo małą przestrzeń. W mikroskopijnym zmniejszeniu znajdować się będą litery na polu świetlnym. Nabiorą one jednak odpowiedniej wielkości, gdy zostaną rzucone na płótno.

Taki jest w ogólnych zarysach projekt nowego pomysłu. Inżynier Goldchmidt utrzymuje, że techniczne trudności zastosowania są nieznaczne, a i koszty bardzo niewielkie. Już obecnie w ciągu godziny można reprodukować 50 wielkich stron druku. Inicjatorowie pomysłu żywią nadzieję, że przy technicznym wydoskonaleniu swego wynalazku potrafią go zrealizować z korzyścią zarówno dla bibliotek publicznych, jako i do użytku prywatnego.

DOROCZNE OGÓLNE ZEBRANIE ZWIĄZKU RÓWNOUPRAWNIENIA KOBIET POLSKICH, Nowy Świat 4, odbędzie się 10 i 11 marca, a wrazie niedojścia do skutku zebrania w pierwszym terminie, odbędzie się bez względu na liczbę zebranych, w dniach 24 i 26 marca r. b. Porządek dzienny obejmuje: Sprawozdania Zarządu Kasy i Oddziałów. Wybory 3 członków Zarządu Komisji Rewizyjnej i Balotującej. Wnioski Zarządu, Oddziałów i Członków.

Książki nadesłane do Redakcji:

Zofja Wójcicka-Chylewska: „Las" — poemat dramatyczny. Nakładem autorki. Kraków, 1911. Str. 174.

Robert Saitschick. „Ludzie i Sztuka Odrodzenia Włoskiego". Przekład z upoważnienia autora Marji Kreczowskiej. Kraków—Warszawa, 1911. „Książnica naukowa i artystyczna". Str. 310. Cena rb. 1 kop. 40.

Stanisław Szpotański: „Mochnacki" — profil historyczny. Kraków. G. Gebethner i Sp. Str, 24. Cena kop. 25.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po **kop. 20** w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.